

O dąkosy



2 (584)
12. I. 1969 r.
12 stron
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII



Fot. A. Wach

KONRAD FREJDLICH

WISŁA to piękne JEZIORO

Wisła płynie tutaj szeroko, równym spokojnym nurtem. Płył, jak przed laty, kiedy wilgotny powiew mieszał się z zapachem palonej kawy, to od Bohma, albo szczypiącego lugu, którym dławila się Celuloza. Ale to znają już tylko najstarsi. W mroźnym, zimowym powietrzu żaden powiew nie kojarzy się z okrutną, celulozową pamiętką. Tylko Wisła została. Prawy brzeg wysoki, ciemny, lesny, a na lewym rozłożył się Włocławek ze swoim kasztanowym bulwarem i przystanią żeglugi pasażerskiej. Tylko Wisła więc... Wisła, która będzie jezioro.

1.

W sześćdziesiątym drugim do nadbrzeża obok bulwaru przycumowała barka. W mieście, które leży nad wielką rzeką, to widok codzienny, ale ta niezgrabna, ciężka krypa nieoczekiwanie, wzbudziła ludzką ciekawość. Z ładu przeciągnięto na pokład przewody elektryczne, a potem jeszcze jeden kabel i wtedy na barce rozdzwonił się telefon. Tak zaczął swoją działalność Zarząd Inwestycji Budowy Kaskady Dolnej Wisły we Włocławku.

Potem, kiedy prace na rzece nabrały rozmachu, „Zarząd” przeniósł się do biurowca, który w międzyczasie stanął nad Wisłą. W miejscu prawie odludnym, bo tych paru bieda-chał rybackich nie można mimo wszystko traktować poważnie; teraz zwłaszcza, gdy brzeg rzeki okupowany jest przez kolorowe mieszkaniowe osiedle, hotelowy archipeląg zaludniony przez przybyszów z całej Polski, którzy ściągali tu z rodzinami albo nawet w pojedynkę, bo wielką budowlaną przygodę łatwiej jest jednak przeżywać w samotności.

Do osiedla można zabrać się z centrum Włocławka wiecznym zatłoczonym autobusem, albo taksówką. Po namyśle wybrałem gablotę, poręczniej. Bo chciałem choć z okien samochodu popatrzeć na inwestycje, które w ostatnich latach runęły na to miasto jak fala czołowa powodzi na wiosnę. Cmiąc papierosy minęliśmy starą Celulozę, tę z „Pamiętki”.

Nagle kierowca tracił mnie łokciem: mijaliśmy fabrykę porcelany Nową, z halami produkcyjnymi w tym szklano-witrynowym stylu. I zaraz musiałem znowu odwracać głowę — fabryka lakierów. Też no-

Dalszy ciąg na str. 4

JAN HUSZCZA

Mińskie spotkania

Pociąg złożony wyłącznie z wagonów sypialnych. W ZSRR takie pociągi kursują na dłuższych trasach, czyli jest ich bardzo wiele. Przechodzą, herbatę przynoszą do przedziału, na stoliku przed oknem leżą

wafle, sucharki. Rozliczymy się dopiero przy wyjściu. Wygodnie i cicho, gdyż pasażerowie na ogół nie wdają się w rozmowę. Dopiero po kilku minutach przekonują się, że niestety, pociąg są zradiofonizowane. Jednak po 23 zapanuje ogólna cisza, nawet szachy, szachy można wypożyczyć u konduktorki, skoncżą rozgrywkę, pasażerowie bowiem na ogół nawzajem się szanują.

Do Minska z moskiewskiego dworca Białoruskiego jedzie się przez całą noc. W Minsku, stolicy Białorusi, o godzinie ósmej trzydziestej z rana jest jeszcze zupełnie ciemno, co nieco zaskakuje, mimo iż mamy drugą połowę listopada. Dlaczego ciemność? Na tym obszarze obowiązuje czas moskiewski, gdyby był pośredni między moskiewskim a naszym, o tej godzinie nie byłoby tak ciemno.

Dopiero przed dziewiątą rozrzedza się

ciemność, na mieście gasną światła. Na rzecie bregam bezradny pó dworcu, z trudem odnajduję jakieś okienko, w którym mnie informują, że biuro „Inturysta” ulokowało się w hotelu „Mińsk” Niedaleko. Dwa przystanki od dworca, ale ja mam багаж. Nieduży, w takich przecież sytuacjach zawsze kłopotliwy. Dwa wielkie gmachy z dwóch stron, każdy z nich z wielookiennym i wielokondygnacyjnym skrzydłem — stanowią jakby olbrzymią bramę do miasta.

Pokój jednak dla mnie zarezerwowano, to najważniejsze. Natomiast aż do południa nie mogę nawiązać kontaktu ze Związkiem Pisarzy Białoruskich. Denerwuję się, czasu bowiem mam mało, szkoda mi każdej godziny. Dopiero po dwunastej pojawia się „panoczki”. Ponieważ nieraz spotykamy się z ironicznym stosunkiem do naszego arcydziełowości-towarzystwa zwró-

tu „pan”. Pragnę w tym miejscu przypomnieć, że i Białorusini używali kiedyś tej formy — pan, panoczki.

Wszystko jest jasne: pisarze mieli ważną, niemal całonocną naradę partyjną, więc dlatego trudno było się skonfrontować — wyjaśnia znany prozaik Taras Chadkiewicz, potakując mi inny prozaik, Mikołaj Tatur. Widocznie były burzliwe dyskusje, są jeszcze zbulwersowani, między sobą nawet później, w restauracji wracają do przebiegu narady do jakichś utarczek.

Odtąd czuję się jak u siebie. Zawieram znajomości przede wszystkim z poetami. Bez trudu znajdujemy wspólne tematy, gdyż poezja białoruska nigdy nie była nam obca, licznym z nich zaś nasza poezja. Wy-

starczy przypomnieć przyjaciela Mickiewi-

Dalszy ciąg na str. 3



Nowy rok rozpoczął się na arenie międzynarodowej pod znakiem nowego napięcia w rejonie bliskowschodnim. Izrael brutalnie zaatakował z powietrza bejruckie lotnisko — jeden z największych portów na skrzyżowaniu tras Europy, Azji i Australii. Dotychczas, jeśli nie liczyć jednego, mniejszego incydentu — Liban nie był obiektem otwartych ataków Izraela. Mówiło się nawet o jego pewnym umiarkowaniu w konfliktach bliskowschodnich. Teraz okazało się, że armia Dajana z jednakową nienawiścią, odnosi się do wszystkiego, co arabskie. Piracki nalot na lotnisko Kairu, słabego militarnie, miał być rzekomo aktem retaliacji za incydent z izraelskim samolotem w Atenach, w którym wzięło udział dwóch pasażerów... libańskich linii lotniczych. Był to jednak tylko pretekst. Izrael — a to z pewnością było głównym motywem militarnej akcji — zaniepokoił się perspektywą pokojowego uregulowania konfliktu.

Jak wiadomo — w ostatnich dniach starego roku przebywał w Kairze min. Gromyko. Fakt ten, jak również mająca wkrótce nastąpić zmiana administracji amerykańskiej zaczęto w komentarzach wiązać z możliwością wyjścia z obecnego impasu. Aktem militarnym na bejruckie lotnisko Izrael chciał zniweczyć wysiłki na rzecz przywrócenia pokoju. Jest on bowiem zainteresowany w utrzymaniu stanu napięcia, który — jak powiadał niedawno premier Eszkol — może trwać i przez 20 lat.

Tym razem jednak Tel Aviv wyraźnie się przełamał. Napaść na libańskie lotnisko wyprzedziła z równowagi nawet rządy, życzliwe Izraelowi. Zwolane w trybie nagłym posiedzenie Rady Bezpieczeństwa zakończyło się 31 grudnia jednogłośnie przyjętą rezolucją, określającą akt militarny Izraela jako pogwałcenie Karty ONZ i układu o przerwaniu ognia oraz potępiającą tę akcję. Jest to najostrzejsza ze wszystkich rezolucji, podjętych przeciwko Izraelowi.

Charakterystyczne, jak zareagował na to izraelski parlament. Skrucha? Wyrażeniem ubolewania? Ale skądże! Zaaprobował on akcję dajanowskiej soldateski i skrytykował stanowisko Rady Bezpieczeństwa.

Konflikt bliskowschodni wciąż grozi eksplozją. U progu nowego roku dał o sobie znać w sposób utrzymujący go na początku listy najpilniejszych spraw do załatwienia.

Kierunek rozwiązania problemu wytyczyła rezolucja Rady Bezpieczeństwa z listopada 1967 roku. Rzecz jednak w tym, aby zmusić Izrael do jej respektowania. Tymczasem Stany Zjednoczone zachęcają w odwrotnym kierunku. Nie jest przecież przypadkiem, że atak na Bejrut miał miejsce tuż po decyzji Johnsona sprzedaż Izraelowi 50 samolotów typu „Phantom”.

Nowa sytuacja w rejonie Bliskiego Wschodu może zagrozić dalszej misji amb. Jarringa, który wkrótce ma podjąć kolejną rundę rozmów z krajami arabskimi i Izraelem.

Obecnie zaś ZSRR oraz Francja rozwijają działalność dyplomatyczną, mającą na celu przejęcie decydującej roli w rozwiązaniu kryzysu przez wielkie mocarstwa.

Znosi się również na arabskie spotkanie na szczycie. Propozycję w tej sprawie króla Jordani poparło do niedzieli już 6 krajów.

A co słychać w Wietnamie? Po krótkotrwałym, jednostronnie zresztą ogłoszonym przez Front Wyzwolenia Narodowego, zawieszeniu broni — znów toczą się walki.

Tymczasem w Paryżu trwają spotkania wiceprzewodniczących delegacji USA i DRW, w czasie których ciągle omawia się procedurę rokowań. Kiedy po długiej zwłoce delegacja sajsjońska przybyła do stolicy Francji, okazało się, że trzeba znów tygodni, aby przedstawiciele południowowietnamskiego reżimu łaskawie chcieli zasiąść do stołu obrad. Istotą przeciągających się uzgodnień proceduralnych jest — praktycznie rzecz biorąc — odmowa Sajgonu uznania FWN. Upiera się on przy zasadzie rozmów między „dwoma obozami”.

Zastępca przewodniczącego delegacji FWN — Hoï Nam oświadczył w związku z tym:

„Jeśli Sajgon będzie się upierał przy stwarzaniu trudności, blokujących otwarcie konferencji paryskiej — to jesteśmy pewni, że ludność Wietnamu Płd. obali klikę Thieu-Ky-Huong i zastąpi ją gabinetem pokoju, pragnącym uczestniczyć w rokowaniach”.

Twierdzenie to nie jest bezpodstawne — kurs na przedłużanie się wojny spotyka się w Wietnamie Południowym z oporem ludności, który wyraża się we wsparciu FWN i licznych demonstracjach.

Na razie jednak impas w Paryżu utrzymuje się i komentatorzy zachodni nadzieje wzięły przede wszystkim z datą 20 stycznia — początkiem prezydentury Nixona. Ich zdaniem — nowy prezydent, zdenerwowany opóźnieniami w zasadniczych rokowaniach, może skłonić Sajgon do ustępliwości. Jest to jednak raczej życzenie niż realna ocena sytuacji.

Skoro sprawy proceduralne w Paryżu przeciągają się tak długo — można sobie uzmysłowić, jakie to trudności wyłonią się w zasadniczych rozmowach. Nie rokuje to nadziei na szybkie skierowanie konfliktu wietnamskiego na pokojowe tory.

W. SŁAWSKI

Ankieta „Odgłosów”

DRODZY CZYTELNICY!

Zapraszamy Was do wyrażenia swojej opinii o „Odgłosach”. Aby ułatwić dialog między nami a Wami pozwoliliśmy sobie postawić tutaj pytania, na które, jak się spodziewamy, nie będzie zbyt trudno odpowiedzieć. Nam zaś wynikające stąd wnioski pozwolą uczynić gazetę jeszcze bliższą potrzebom Czytelników.

Wśród Czytelników, którzy nadesłali odpowiedzi na naszą ankietę, rozlosujemy trzy następujące nagrody:

1. ODBIORNIA TRANZYSTOROWY „GULIVER”
2. MASZYNA ELEKTRYCZNA DO GOLENIA
3. PIÓRO WIECZNE — KOMPLET

Niezależnie od tego ufundujemy nagrodę specjalną w postaci półrocznej bezpłatnej prenumeraty „Odgłosów” dla Czytelnika, który nadesłanie nam list zawierający najciekawsze uwagi o piśmie

Ankiety oraz listy prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów” na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96 w terminie do 15 lutego 1969 r. Wyniki losowania ogłosiemy do dnia 15 marca 1969 r.

Imię i nazwisko

Adres

Zawód

1. Od jak dawna czyta Pan(i) „Odgłosy”? I czy czyta je Pan(i) systematycznie?
2. Czy oprócz „Odgłosów” czyta Pan(i) inne tygodniki społeczno-kulturalne? (Prosimy o podanie tytułów)
3. Od czego zaczyna Pan(i) lekturę „Odgłosów”?
4. Których autorów czyta Pan(i) w „Odgłosach” najchętniej i kogo jeszcze chciałby Pan(i) czytać?
5. Czy nasz tygodnik dostatecznie informuje o wydarzeniach międzynarodowych? Czy zdaniem Pana(i) należałoby problematykę tę w piśmie poszerzyć czy też utrzymać na dotychczasowym poziomie?
6. Czy „Odgłosy” mają dostateczną informację o życiu w kraju? I czy chętnie czyta Pan(i) reportaże z innych województw?
7. Czy „Odgłosy” poświęcają dostatecznie wiele uwagi

Łodzi i regionowi łódzkiemu? Czego Panu(i) brak z tej dziedziny na łamach pisma, a o czym rzucimy za wiele?

.

8. Co Pan(i) czyta chętniej: publicystykę na tematy społeczne czy też kulturalne?

.

9. Jakie formy dziennikarskie powinniśmy na łamach pisma rozszerzyć:

- a) artykuły publicystyczne
- b) reportaże
- c) stenogramy dyskusji
- d) felietony
- e) recenzje
- f) noty informacyjne (niepotrzebne skreślić)

10. Czy w naszym tygodniku dostatecznie reprezentowana jest literatura piękna? Czyta Pan(i) chętnie opowiadania czy też fragmenty powieści? Jaka jest opinia Pana(i) o publikowanych przez nas wierszach?

.

11. Jak Pan(i) ocenia nasze stałe pozycje „Lewym okiem”, „Bez strachu”, „Notatnik kulturalny”, „Kto, co, kiedy?” która z nich cenil Pan(i) najbardziej, której zaś zdecydowanie nie lubi?

.

12. Jak Pan(i) ocenia poziom naszych recenzji teatralnych, książkowych, filmowych, telewizyjnych, plastycznych? Czy opinie naszych recenzentów pokrywają się z Pana(i) odczuciami?

.

13. Jak jest zdanie Pana(i) o szacie graficznej tygodnika? Co by Pan(i) tutaj zmienił(a)?

.

14. Czego Panu(i) zdecydowanie brak na łamach „Odgłosów”?

.

15. O czym chciałby Pan(i) czytać w „Odgłosach” w najbliższym czasie?

.



SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W związku z artykułem Adama Lewaszkiewicza pt. „Białe Kraki przelatują granicę” chcę sprostować błędne jego informacje oraz dodać kilka szczegółów.

Otóż najdroższą obecnie książkę świata wspomnianą 42-wierszową Biblię Gutenberga bibliofil francuski Saller kupił w r. 1729 za pół gułdena. Nieco później król pruski Fryderyk Wielki, również namiętny bibliofil, zapłacił za egzemplarz drukowany na pergaminie już 200 talarów, a za taki sam egzemplarz w r. 1817 osiągnięto na aukcji cenę 6.260 franków szwajcarskich. Za kompletne egzemplarze drukowane na papierze płacono w r. 1793 cenę 2.000 marek,

1805 — 3.700 franków szwajcarskich, 1870 — 4.000 talarów, w 1884 już 78.000 marek, 1911 — 116.000 marek, a w 1926 już 420.000 marek. Najwyższą dotychczasową cenę 305.000 dolarów za egzemplarz kompletny drukowany na pergaminie zapłaciła w r. 1926 Biblioteka Kongresu w Waszyngtonie. Po wojnie sprzedano w r. 1947 zdefektowany egzemplarz na papierze za 22.000 funtów szterlingów, a ostatnio berliński antykwaryusz Gerd Rosen za jedną tylko kartę z ozdobnym inicjałem żądał 2.000 marek. Obecnie znanych jest 12 egzemplarzy drukowanych na pergaminie, w tym tylko cztery kompletne, oraz 46 na papierze, w tym tylko 6 w posiadaniu prywatnym, gdyż reszta znajduje się w zbiorach publicznych. Do najciekawszych egzemplarzy Biblii Gutenberga należy jedyny w Polsce, znajdujący się w Bibliotece Kapituły w Pełplinie.

Jeżeli chodzi o wspomnianą drugą Biblię z przedmową Kalwina i wydaną po raz pierwszy w 1535, to cena jej jest wielokrotnie niższa, zdefektowany egzemplarz osiągnął na aukcji w r. 1947 cenę 460 franków szwajcarskich.

Jako ciekawostkę podam, że obecnie najdroższym starodrukiem polskim jest pierwsze wydanie dzieła Mikołaja Kopernika, które ostatnio wyceniono na 2.000 franków szwajcarskich, a sprzedano na aukcji za sumę 80.000 franków szwajcarskich. Warto wspomnieć,

że przed pierwszą wojną sprzedano w Warszawie egzemplarz za 250 rubli.

Najwyższą cenę antykwaryczną 120.000 złotych osiągnięto w Polsce za wydaną od r. 1870 i dotychczas nie ukończoną „Bibliografię Polską” Estreicherów.

Jeżeli chodzi o rekordową cenę 2 milionów dolarów, to osiągnięto ją na aukcji obrazów w Nowym Jorku w 1962 r. za obraz Rembrandta przedstawiający Arystotelesa.

Ciekawym jest również fakt, że Muzeum Narodowe w Warszawie organizując wystawę posiadanej kolekcji obrazów Bernarda Bellotta Canaletta w Wenecji w r. 1955 ubezpieczyło każdy obraz na 10.000 dolarów, podczas gdy nieco później obraz Canaletta osiągnął sumę 100.000 dolarów.

Obecnie najbardziej rozwija się kolekcjonerstwo antyków w Stanach Zjednoczonych, gdzie istnieje około 3.000 muzeów i zbiorów publicznych, w tym również w Muzeum Polskim w Chicago. Kolekcjonerstwo i powstawaniu zbiorów publicznych sprzyja przebiegła polityka amerykańskich władz państwowych, która zwalnia kolekcjonerów od częściowych podatków dochodowych, nakładając jednocześnie horrendalnie wysokie podatki od spadkobierców.

U nas zainteresowanie kolekcjo-

nerstwem jest bardzo niskie. Świadczą o tym chociażby leżące od kilku tygodni na wystawie antykwarialu unikalne już pierwsze wydanie dramatu „Róża” Stefana Żeromskiego za cenę 15 złotych.

JOZEF GAJEK

Już
w następnym numerze
„Odgłosów”
współczesna spowiedź
dziecięcia wieku
pt.
„JACY JESTEŚMY,
MY STUDENCI?”
oraz
DWUGŁOS
O MARIU WALEWSKIEJ
I KIERNOSI

Mińskie spotkania

Dalszy ciąg ze str. 1

cza, autora „Pieśni wieśniaczych znad Niemna i Dźwiny”, Jana Czeczota.

Rozmawiamy po polsku, po białorusku i po rosyjsku, czasem trzema językami naraz. Podobnie dzieje się wszędzie, aczkolwiek najczęściej słyszy się rosyjski.

Zabiegam o nowe zbiorki poetyckie, w poezji bowiem wiele się zmieniło, nowe nazwiska, nowe poszukiwania, jest coraz dalej od Janki Kupały i Jakuba Kołosa, czego świadectwem może być choćby estetycznie opracowany tom wierszy Anatola Wiarcinskaha, poety średniego pokolenia. Inne treści, inne środki wyrazu.

Oj, jak mało czasu! Piętrowy duży dom, przypominający jakiś tradycyjny pałacyk, przesłonięty w dodatku gałęziami drzew, to muzeum Janki Kupały. Od razu rozpoznaję panią Jadwigę Romanowską, bratanicę poety, chociaż w przeszłości widzieliśmy się tylko raz. Nie, fachowego przewodnika po muzeum nie trzeba. Dzieje poetyckie białoruskiego klasyka są przecież ściśle związane z rozmaitymi epizodami dziejów naszej poezji, dziejów poezji rosyjskiej. Tu więc widzę wiele książek polskich, pism polskich, tu na zbiorowych fotografiach odnajduję i twarze, należące do znanych mi nazwisk polskich. W dodatku i niektóre publikacje Kupały w okresie caratu drukowano łacińskim alfabetem. Zresztą, mówiąc skrótnie, w dziewiętnastym stuleciu Białorusinów carat w ogóle nie uznawał, niektóre książki drukowano w Poznaniu, w Krakowie. Otóż Iwan Łucewicz-Kupała (1882—1942) urodził się w powiecie wilejskim jako syn dzierżawcy folwarku, był w Wilnie, zajmował się belferką na Polesiu, brał udział we wspólnych wydawnictwach jak choćby w zeszytach „Litwy i Rusi”, wydanym z okazji pięćdziesiątej rocznicy zgonu Władysława Syrokomli.

Kupała, skromny człowiek o niebieskich ujmujących oczach, który w latach 1905—1907 napisał wiersz „Jam nie poeta” (przełożył K. A. Jaworskiego):

...Poetów każda ma na świecie ziemia,
W ich pieśni kłęski narodów i wała,
Na Białorusi zaś poetów nie ma,
Niechaj więc będzie choć Janka Kupała...

nawet nie przeczuwał, że stanie się jednym z najwybitniejszych poetów białoruskich, jej klasykiem.

Janka Kupała i Jakub Kołosa. Dopiero w 1891 roku narodził się Maksim Bahdanowicz, który o sobie, o swojej roli będzie pisał inaczej: „...moja twórczość dażyła przede wszystkim do poszerzenia kręgu tematów i form poezji białoruskiej”. Tamci dwaj, stawiający sobie elementarne zadania: poszerzyć i utrwalić świadomość narodową, utorowali drogę temu trzeciemu. Tego trzeciego klasyka, który niestety tworzył tak krótko (zm. w 1917 roku w Jaicie na gruźlicę), otrzymałem dwa świeżo a pieczołowicie wydane tomy wierszy i prozy.

Zasadnicze zbiory muzeum to książki, rękopisy, czasopisma, fotografie, liczne portrety. Mało ocalało osobistych rzeczy poety, który musiał niemal nagle ewakuować się z płonącego Mińska. W pamiętniku z dnia 22 czerwca 1941 roku, gdy mieszczanie spędzali czas na brzegu sztucznego jeziora Komsomolskiego, nad miastem pojawiły się samoloty ze swastyką, z ładunkiem bomb. 28 czerwca hitlerowcy wkroczyli do buchającej ogniem stolicy.

Następnie udajemy się do muzeum w wielkim gmachu, poświęconemu wojnie ojczyźnianej, walkom regularnym i partyzanckim. Bogactwo zgromadzonych eksponatów i dokumentacji jest tak wielkie, a nam jedynie pobieżny rzut oka musi wystarczyć.

Ale i tak jeszcze raz można sobie uprzytomnić wielki wkład narodu białoruskiego w minioną wojnę, bohaterstwo i ofiarność, straszliwy upust krwi w katowniach i w walce partyzanckiej. Może nawet większy, niż gdzie indziej, gdyż Białoruś jest na ogół równinna choć lesista, jedynie od południa lepiej jej strzegą błota i wody Pripiaci z dopływami. Obszar więc dość bezbronny, a walka z wrogiem w różnych przejawach intensywna.

Nic więc dziwnego, że Mińsk jest właściwie nowym miastem. Mimo rozmaitych etapów w architekturze — od kolumnad i wież po gmachy, wzniesione z funkcjonalną prostotą — dość harmonijnie zabudowanym o szerokich, czasem bulwarowych ulicach.

Znaną z wierszy białoruskich i z dawnych polskich wspomnień rzekę Swisłocz oglądam w betonie.

W śródmieściu przestrzennie i niehałaśliwie, mimo tramwajów i pojazdów mechanicznych. Z okna hotelowego mam widok na rozległy plac Lenina. Gdy wychodzę, na prawo znajduje się ulica Sawieckaja, przy której zwraca uwagę kościół z czerwonej cegły, dwuwieżowy z wysoką

dzwonnica, mieszczą się w nim jakieś agendy kinematografii białoruskiej. To jedna z niewielu budowli cudem ocalałych z pożogi. W jej pobliżu skręcam w prawo — odnajduję czynną cerkiew w stylu niebiżantyjskim, o dwóch wieżach, przypominających barok. Odnajduję stadka drewniaków, parterowych i piętrowych o ganecz-kach jeszcze niekiedy na kolumnkach, o oknach ze skrzydełkami okiennic. Zaclera się i kruszeje barwa zielono-żółta.

To niejako szczątki starego Mińska. Obok tych domków trwa budowa wielkich domów mieszkalnych.

Żeby skończyć ze starym Mińskiem, ewentualnie dla tych czytelników, którzy ongi go znali, dodam, że Sawieckaja to „bywszaja Zachariewskaja”, zaś Leninska-ja, to „bywszaja Gubernatorskaja”.

Tam, gdzie była „Komarówka”, nazwa w tym wypadku znacząca, rozprzestrzenia się świetnie zaplanowany, doskonale kontaktujący się z ulicami plac Kołosa.

Właściwie to tylko z okien samochodu ogląda się teaty; wielki cyrk, w którym właśnie występują polscy artyści; ogród botaniczny, którego przedłużeniem jest wielki park naturalny; nowe dzielnice, stałe i łakomie wchłaniające podmiejskie wsie.

Szkoda, że to listopad, ale znowu jakoś tak się zdarzyło. Kremowo-biało-szare miasto rysowałoby się bez porównania żywiej, gdyby w słońcu zamigotała Swisłocz, zielono szumiły drzewa i jarzyły się liczne klomby, skwery, trawniki.

Na razie ni to jesień, ni to zima, latki śniegu, gdzieś niegdyś się utrzymujące, nie blyszczą bielą, nie są pewne swojej najbliższej przyszłości.

Powtórzę jeszcze raz: miasto sprawia wrażenie dosyć harmonijnego. Więcej: zapraszającego, by się zadomowić, choć lubię miasta z zabytkami, ze starymi domami. No, ale w tym wypadku nie ma o czym mówić. Po prostu dodajmy, że według wszystkiego, czego się dowiedziałem i co sobie można wyobrazić, mieszka się w tym Mińsku bez porównania wygodniej niż w dawnym.

Gdy długo stałem przed jednym z drewnianych domków, przypominającym mi moje miasteczko, jakiś przechodzień wyjątkowo zatrzymał się i zapytał:

— Podoba się?

— Bardzo!

Przechodzień ironicznie:

— Jeśli macie mieszkanie z centralnym ogrzewaniem, to możemy się zamienić.

Nic nie odpowiedziałem.

Wieczorem drugiego dnia pobytu pojawia się na widowni „Białoruskaja horkaja”. Zaczyna się to u gościnnego Maksima Tanka. Stykam się z coraz nowymi ludźmi. Nowymi? W pewnym tylko sensie. Dobrze znam ich nazwiska. Więc Filip Piestrak, Pimen Panczanka, z młodszych Piatus Makal.

Trzeba dodać, że przybywa i piszących kobiet. Należy tu dla przykładu wymienić jedną z młodszych, Danutę Biczel, ur. w... Ech, ta niedyskrecja może w przyszłości wywołać niezadowolenie poetki.

Oni nas tłumacza, my ich.

Ostatnio pod redakcją Janki Bryla przygotowują antologię współczesnej noweli polskiej. Dużym dorobkiem przekładowym może się pochwalić p. Piotr Stefanowicz. Jego przekłady opowiadań Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Żukrowskiego, Anny Kowalskiej, Lesława Bartelskiego i in. znajdują się w tej antologii.

Myślę jednak, że nadal nie za bardzo znamy nasze literatury. Wymaga większej niż dotąd uwagi poezja białoruska. Stosunkowo najlepiej znamy twórczość Tanka.

Ale, nawet jeśli chodzi o klasyków, czy jest znany Bahdanowicz?

Dopiero teraz z żalem zdaję sobie sprawę, iż zajętemu rozmowami literackimi coś umknęło. Jest zapewne w Mińsku rynek kołchozowy — może nawet nie jeden — był chyba w czasie mojego krótkiego pobytu jakiś dzień jarmarczny. Białoruś jest uprzemysłowiona, ale przeważa wieś. Według Małej Encyklopedii Radzieckiej z 1963 roku, mieszkańcy miast i miasteczek to 35 proc. ludności. Przemysł poważny w Mińsku, Witebsku, Homlu, Orszy, Obrabiarki, ciężarówki, traktory. Ale i tkaniny, wyroby z drzewa, torf, mleko, mięso, owoce.

Na bazarze zapewne po dawnemu zanurzyłbym się w żywołe mowy białoruskiej, w jej szorstkościach i śpiewnościach, tam ujrzałbym to, co wieś kołchozowa sprzedaje, bo niezupełnie wierzę utalentowanemu poecie Rygorowi Baradulinowi, autorowi jeszcze w 1956 roku napisanego wiersza o dziadku, sprzedającym tradycyjne kołowrotki, który słyszy od gapiów:

— Pozna, dzied, przywioz tawari!

Znam nasze jarmarki, wiem, że zawsze można znaleźć nabywców i dla kołowrotek. Kołowrotki w tym wypadku, zgodnie z podstawową zasadą poetycką, to przenośnia.

Spotkałbym na bazarze dziewczęta o jasnych niebieskich oczach i llnianych włosach, bo te miejskie są często ładne i urocze, ale od dawna po miejsku. Widziałbym dziewczyny, z którymi każdy chętnie pojawiłby się nawet w najbardziej snobistycznej kawiarni.

Cóż, nie byłem na bazarze, nie byłem poza Mińskiem.

Jadę do Wilna. Pejzaż staje się coraz bardziej znajomy...

JAN HUSZCZA



KAROL BADZIAK

Wypoczynek

Czas pracy maleje, czas wypoczynku rośnie. Jest to proces ogólnosiwiatowy i cała rzecz w tym, żeby sprawy nie przecoczyły, gdyż tendencja ta niesie z sobą szereg skutków społecznych. Skutki pozytywne są oczywiste, natomiast skutki negatywne wcale nie są takie oczywiste i jasne. Nauczylimy się jest bowiem pracować, z wypoczynkiem jest trochę gorzej. W procesie pracy dominuje technika, w procesie wypoczynku na pierwszy plan wysuwa się kultura.

Wydułający się czas wolny od pracy wylania niejako automatycznie problem jak go wykorzystać, jaką wypełnić go treścią, jaki mu nadać charakter. Wbrew pozorom nie jest to jeszcze problem teoretyczny, on już jest praktyczny.

Już obecnie w naszym kraju zapotrzebowanie społeczne na właściwy wypoczynek jest wyższe od możliwości jego zaspokojenia. Wiąże się to między innymi ze zmianą w strukturze konsumpcji, z przystosowaniem ludności miejskiej i ze wzrostem funduszu spożycia zbiorowego. Od siedmiu lat notuje się ciekawą prawidłowość, której nikt dotąd nie wyjaśnił. Chodzi o to, że jeśli dochód narodowy wzrastał rocznie o 7 proc., to przyrost turystyki wynosił 14 proc. A turystyka jest jedną z najatrakcyjniejszych form wypoczynku. O doniosłości turystyki, krajoznawstwa i wypoczynku świątecznego świadczą fakt, że znalazły one swe odbicie w Uchwałach V Zjazdu. V Zjazd rozwiązał wątpliwość co do charakteru wypoczynku po pracy w Polsce. Wypoczynek ludzi pracy w naszym kraju ma charakter socjalny. Oznacza to w praktyce, że cała dziedzina usług związana z wypoczynkiem, a szczególnie z wypoczynkiem świątecznym oraz z turystyką powinna w swej działalności być nakierowana na zaspokojenie potrzeb społecznych, a nie na dochód. „Przemysł wypoczynkowy” w ustroju socjalistycznym nie jest przemysłem obliczonym na rentowność. Jak wiadomo w krajach kapitalistycznych przemysł ten został skomercjalizowany i stał się źródłem wyjątkowo wysokich zysków.

WYPOCZYNEK ŚWIĄTECZNY

W ostatnich latach nastąpił szczególnie dynamiczny rozwój różnych form wypoczynku świątecznego. Złożyło się na to szereg przyczyn, z których warto wymienić trzy najważniejsze: wzrost czasu wolnego, wzrost stopy życiowej i rozwój kulturalny społeczeństwa. Popularność i spontaniczność tego typu wypoczynku okazała się tak wielką, że zrodziła szereg potrzeb, które trudno natychmiast zaspokoić. Ażby uzmysłowić rozmiar zjawiska podam, że średnia wielkość jednorazowych wyjazdów na wypoczynek świąteczny dla całej Polski w 1965 roku wynosiła 6 proc. ludności, obecnie zaś wynosi około 9 proc. Przewiduje się, że w 1985 roku wynosić będzie 15 proc. ludności.

Upraszczając nieco cyfry można powiedzieć, że jednorazowo wyjeżdża obecnie na wypoczynek świąteczny około 3 milionów ludzi, w przyszłości wyjeżdżać będzie ponad 6 milionów. Wyjazdów takich jest prawie 10 w ciągu roku. Tyle jest mniej więcej w naszym kraju pogodnych niedziel. Obliczono, że przeszło połowa uczestników wypoczynku świątecznego chciałaby skorzystać ze zorganizowanych ośrodków turystyczno-wypoczynkowych, a tymczasem łączna pojemność tych ośrodków wynosi zaledwie około 600 tysięcy miejsc czyli 1/5 potrzeb.

Jeśli chodzi o Łódź to z naszego miasta każdej pogodnej niedzieli wyjeżdża 100.000 osób, w tym zaledwie połowa może otrzymać nocleg i wyżywienie, reszta skazana jest na powrót w tym samym dniu do domu. Podobnie ma się sprawa z Warszawą i Katowicami. Ale trzeba dodać, że tamte miasta znalazły jakieś dodatkowe rozwiązania tej kwestii, wprowadziły polowicze, ale zawsze... W stolicy na przykład wprowadzono „zielone” linie, które rano wywożą, a wieczorem przywożą gości z zielonej trawki. W Łodzi do tej pory dla „zielonych” linii istniało raczej czerwone światło.

Komunikacja jest oczywiście tylko jednym z wielu elementów hamujących ten zdrowy i masowy ruch, jakim jest wypoczynek świąteczny. Należy sobie zdawać

Dalszy ciąg na str. 9

PRZY SHAPTESBURY AVENUE BŁYSNĘŁY PIERWSZE LAMPY.

I NIE WIADOMO KIEDY, JAK ZA NACISNIĘCIEM UKRYTEGO GUZIKA, ROZLAŁA SIĘ SZEROKA FAŁA ŚWIATEŁ PO WSZYSTKICH PRZEJŚCIACH I ZAUŁEKACH MIĘDZY PICADILLY-CIRCUS AZ PO OXFORD-STREET I TRAFALGAR-SQUARE.

Shaftesbury-Avenue. Te zaułki, już w Sredniowieczu znane, pachną na przemian paryskim bulwarem, Piotrkowską w mieście Łodzi, to znów Kurfuerstendamm, lub Krakowskim Przedmieściem. Kręte, ciasne, zatłoczone asfalty, zapchane alejki, którymi bez przerwy płynie strumień Niemców, Włochów, Francuzów, Duńczyków... przelewa się obok chińskich jadłodajni, greckich i ormiańskich restauracji i żydowskich lokali rozrywkowych w których jak u Ruby'ego w teksaskim Dallas o każdej porze podadzą ci rozebraną girl na talerzu, byłeś okiem mrugnął i zadzwonił półkoroną w blat stołu. Na początek, potem musisz już szeleścić funtami. Tu w Soho uwilli też swe meliny i założyli główne kwatery bossowie przestępczego świata. Tu niuchają za forszą pośrednicy, ajenci, handlarze, naganicze i operatorzy towarzyszy filmowych specjalizujących się w produkowaniu smaczków, przyprowadzających o rozkoszne dreszcze playboyów z Rio de Janeiro i Mexico-City. Soho to hamburska St. Pauli i paryska Pigalle do potęgi drugiej. Jeśli nie trzećciej.

Czy przebywał kto w jednym z bingo-klubów?

Jest ich w Londynie więcej niż kościołów, więcej niż banków i ubezpieczeniowych towarzystw.

Najwięcej spelunek i szulerni w samym Soho. Szulerni? No, powiedzmy domów gry, które są, zgroza przejmują, o całe niebo bardziej ucieszczane niż domy boże. Wszystkie te gigantyczne domy boże wykute w kamieniu, pełne złota i srebra, pełne drogich kamieni, świecą taką samą pustką przez cały dzień jak Madeline i Sacre-Coeur w Paryżu podczas wielkiej mszy niedzielnej. Kilka czarno odzianych starszek w pierwszych ławach, gromadka rozglądających się ciekawie po granitowej nawie turystów i ten proboszcz na ambonie, z palcem wzniesionym ku niebu. Grzmi, biedak i grozi, lecz jego głos dzwiczny i metaliczny niesie się między rzędami białych kolumn niby głos wolaającego na puszczy. Z religii w wynos, na pokaz, na powszechny podziw i użytek sąsiadów, dawno tu skończono. To ten drugi po Wolterze etap. Jaki będzie następny?

Owieczki rozbiegły się. Uwiódłki demon gry i bezbożnego hazardu.

W samym pępku Piccadilly-Circus kąpie się kształtny Eros w neonowej poświacie i rozpina skrzydełka do lotu. Cień tych skrzydeł otulił bosc dziewczęta, które jak syreny, z luźno rozpuszczonym włosiem, siedzą na kamiennych schodkach przed statua bożka miłości. Na postumencie przysiadły też rosłe chłopaczyska, ale tylko na chwilę, bo zaraz prysną z blondbóstwem pod rękę w neonową dal. Rendez-vous przy studni Erosa. Wilhelmina z Kopenhagi wiesz się

królowej Zjednoczonego Królestwa, także widokiem jej małżonka księcia Edinburga. Książę pozerem nie jest. Jest istotnie sportowcem, o czym każdy może się przekonać kto puści telewizor w niedzielne popołudnie na kolejne sprawozdanie z meczu w polo najlepszych drużyn angielskich. W Epsom przed trybunami można też zobaczyć Cyganieczki. Stoją w przejściach z talia tłustych i zabrudzonych kart w rękę i wróżą jak przed Dworcem Fabrycznym w Łodzi.

Gigantyczne domy gry.

Potwornych rozmiarów ruletki. Ten wyspiarski naród zawsze miał skłonności do chorobliwego wręcz ryzyka. Gdyby tej skłonności nie miał, to by nie hulał szaleńczo po wzburzonych oceanach za wciąż nowym ładem, złotem, diamentem i czarnym niewolnikiem. Tych wyspiarski zawsze pociągał hazard nawet gdy stawką było życie i zamiast honorów czekała mogiła. W ich mniemaniu cnoty najwyższej rangi to wytrwałość, dzielność i odwaga. Więc co drugi londyńczyk

Cicho jest teraz na tej uliczce.

Główna fala już odpłynęła. Przed wejściem do klubu migocze neon i mienią się kolorami fotosy gołych dziewczyn. Cerber jest tym razem uśmiechnięty. Jest szczytem uprzejmości. Wsuwasz mu do ręki kilkanaście szylingów, a on ci w zamian mały bilecik. Słabo oświetlone schody, wąskie i kamienne prowadzą w dół. Jeszcze jeden cerber. Dużo młodszy. Znow wysuwa rękę. Zadawała się 5 szylingami. To na rzecz miasta, sir, taki podatek samorządowy, sir, życząc wesołej zabawy sir...

Sala jest maclupeńka.

Proszę wybaczyć, ale widz nie przychodzi tutaj, żeby podziwiać z dużej perspektywy barokowe plafony, po to tuli funta, aby mieć możliwość blisko siebie wszystkie te cizie, a ma ich być, jak głosi afisz 18, w tym jedna para. Na sali tylko kilkadziesiąt krzesel. Kto spoczął w pierwszym rzędzie ma jasnowłosą koczę na odległość dłoni. Krótka przerwa, zza kulis dobywa się

pogarda. Wykonują na tej scenie swój zawód i nic więcej. Respekt budzi w tym mieście nie zawód jaki się wykonuje, ale pieniądze jaki się zarabia. Za pół godziny obie zblakane magdalenki wyjdą krętymi schodami na Firth-Street, ubrane w barwne bluzeczki, w długie, bardzo kolorowe pantaloony, szerokie, jakby marynarskie, które łopoczą na wietrze jak chorągiewki na koniach gwardzistów Jej Królewskiej Mości. Kiwną ręką, taxi podjedzie i obie barwne i lekkie jak motyle, udadzą się do rodziców w Paddington, zwiną się w kłębek i słodko zasną. Z czasem się ustakują, przeniosą się do zupełnie innej dzielnicy, gdzie nikt ich nigdy nie widział i już jako dobre i troskliwie matki zabiorą blondboscą do lunaparku w Battersea lub Clapham-Common. Strip-tease, jaki prezentują w Soho jest według nich taką samą pracą jak każda inna.

Big Ben wybił dwunastą. Shaftesbury-Avenue już opustoszała. Omnibusy zjechały do garaży. Zająca do podziemnych stacji metra są już zaryglowane żelaznymi prętami. Noc. Cisza. Tylko taksówki suną szybko, bezszelstnie, po mokrej, asfaltowej jezdni, na której odbijają się jasne neon Soho. Na rogach stoją jeszcze sprzedawcy przy budkach z hot-dogs i coca-cola prosto z lodu. Są jeszcze otwarte Wimpey-Bary najtańsze z najtańszych. Inne restauracje i kluby już pozamykano. Z wyjątkiem lokali do których dostęp jest dużo trudniejszy niż do „Blue-Moon'a. Seans trwa tam nieco dłużej i jest nieco bardziej urozmaicony.

Co dalej?

Może zajrzemy jeszcze na Trafalgar-Square?

Nocą ten wielki plac robi nie-realne, baśniowe wrażenie.

Na ciemnym niebie migocze postać Nelsona, zawieszona niby żywa zjawa z czasów już niemal zamierzchłych, na 52-metrowej kolumnie z korynckiego granitu. Po bokach buchają ogromne, jak przed Luvrem, fontanny. U stóp pomnika, w cieniu smutnych lwów spoczywają młode parki. A Nelson udręczony spogląda z wysokości na dumny, tak ongi władcy i purytański Londyn. Ostatecznie starał się jak mógł, nikt nie może o nim powiedzieć złego słowa. Upadła segregacja pici w dobrych starych, angielskich szkołach, a teraz upada jeszcze segregacja klas. Co jeszcze gorsze, runęła też niezachwiana ongi wiara w boskie niemal posłannictwo potężnego Albionu. Gdyby Nelson mógł, to by sobie chyba zasłonił to drugie, zdrowe oko, by dłużej nie patrzeć na wspaniałe kiedyś naród zdobywców, który niezbadanym zrządzeniem losów, zamienia się teraz w zbieraninę strip-teaserów, bingo-klubiarzy i zakudłaconych gitarzystów.

Quo vadis, Britannia?

QUO VADIS, BRITANNIA?

na szyi kowboja z Arizony, Neapolitanka krucza i ognista mała nie wejdzie cała w barczystego Szweda.

Znajomość jest zawarta w jednej doprawdy sekundzie.

Siedzą więc młodzietkie dziewczęta u stop swawolnego Erosa, wszystkie w kuszych spódnicach, w kuszych bluzeczkach, rozluźnione, swobodne, pełne swobodnego wdzięku, ochnocze, zawsze gotowe na głupstwo, byle je o to poprosić. Taka noc na „Piccy" zdarza się tylko raz. Jutro trzeba się już będzie zameldować u mamy w Duesseldorfie nad Renem. Pierwszy podrywa się Holender o rysach tak grubych, że wygląda jak parobek z bruegelewskich płócien. Łapie Niemeczkę z Duesseldorfu nad Renem, by jej czym prędzej udowodnić, że kaleka to on nie jest, dziewczę się niby opiera, niby broni, ale tylko przez moment, bo już biegnie rozbawiona, podochociona, sunie z krępym i przysadzistym Holendrem w te zaułki przy Shaftesbury-Avenue, w te lokale, w te hotele taniutki, w których nad łóżkiem huczy woda w kanalizacyjnych rurach, gdzie jednak nikt nikogo nigdy o nic nie zapyta. Proszę bardzo sir, wolny pokój jest na piętrze...

Kto nie pojechał na rugby w Twickenham, może się jeszcze wybrać do Wembley na football. Może też skoczyć do Epsom na Derby, aby już z bliska nasycić się widokiem Queen Elisabeth,

wytrwale i odważnie obstawia wyścigi konne, psie, samochodowe.

Głupstwo, jeśli charty wstrząsnęły cię na dudka, możesz się jeszcze odegrać na ruletce. Albo nie, na dzisiaj zostawmy. Jest już późny wieczór, na Shaftesbury-Avenue przechodniów dużo mniej a ci, którzy wciąż się wałęsają, szukają pewnie taniego piwa, albo taniej girl. Nie trudno ani o jedno ani o drugie. „Round the corner" stoi młoda girl, obok przez okienko podadzą ci wprost na ulicę jeszcze tanie beer. A może wpadniemy do klubu? Spoglądasz w stronę Pall Mall? Zapomnij o tym. Nie dla ciebie kielbasa. Klubów na Pall Mall strzegą dystyngowani portierzy. Przed pałacami zatrzymują się same prawie Rolls Royce.

W bardziej dostępnych klubach Soho dziewczyski robią streap-tease.

Który wybrać?

Ważba trzeba, gdyż po to żeby po 11 wieczorem wysiąc w Londynie kufel zimnego piwa, skosztować ruletki, lub obejrzeć nieczcny film, trzeba koniecznie należeć do jakiegoś klubu. To zadna trudność założyć taki interes na kółkach. Wystarczy podpisy 20 zwerbowanych członków, kilka szylingów wpłowego, starczy jedna karta rejestracyjna i już można startować z nowym byznosem. „Blue-Moon" przy Firth-Street.

głuchy warkot bębnow i na parkiet wyskakują brunetka. Jest wysoka. Mocno zbudowana. Przede wszystkim ma nogi. Ma przód i ma tył. I wie doskonale jak robić z tego użytek. To już w tej serii numer 10, bo seans zaczął się przed godziną. Słychać głośne ziewanie. W tym momencie brunetka przy ogłuszającym bębnie, który porykuje jak tam-tam w afrykańskiej dżungli wyzwała swe jędrne ciało, ze swobodą urodzonej Ewy, z ostatniego figowego listka. Zastygła teraz bez ruchu. Na sali cisza. Najbardziej zdumiewa, że w tym co brunetka robi, nie ma cienia rozwagi. To niemal artystka ta girl z przedmieścia. To kapłanka dawno już zapomnianej sztuki.

Wreszcie dziewczyna się pręży i nagłe kamienieje.

Teraz dwie dziewoje naraz wyprysnęły z kulis. Salka przebiegł lekki szmer. Jamajczyk w pierwszym rzędzie znowu wychylił się do przodu. Starszy pan w drugim rzędzie wyjął wielką chustę z kieszeni i otarł nią z rozmachem pot z czoła. Dziewczeta stoją pięknie i nagie jak dwa marmurowe posągi antyczne. Na widownię nie patrz, choć oklaski są tym razem nieco żywsze. Dziewczyny są wyniosłe i niedostępne. A jeśli już kogoś musną przelotnym spojrzeniem z lekceważeniem, może nawet z jawną

WISKA to piękne JEZIORO

Dalszy ciąg ze str. 1

wa. Tylko do „Azotów" nie było nam po drodze. A szofer powiedział:

— To machina. Aż strach, że kiedy to ruszy, pożre całe powietrze.

„Zarząd Inwestycji", tak się tutaj skraca długa, oficjalna nazwa. Żyje obok budowy, nieco w cieniu, całą stawę zabiera budowa. „Hydrobudowa" mówiąc już dokładnie. „Zarząd" to parę pokoiów biurowych i ludzie, którzy czuwają nad prawidłową realizacją inwestycji.

W gabinecie dyrektorskim skromnym i jakby zorganizowanym naprędce, wisi na ścianie mapa Wisły ze starannie wyrzonym planem sytuacyjnym. Inżynier Kowalski informuje z uśmiechem:

— Chcemy zamienić Wisłę w dziesięć wielkich jezior. W takie, rozumie pan, jeziorze. Od Warszawy do morza.

Wisła jeziorem? Trzeba się z tym oswoić. Spoglądam przez okno gabinetu, które akurat wychodzi na rzekę. Widzę dźwigi, oddalony kontur zapory i rozjeżdżoną do niemożliwości drogę, gdzie najpewniej czują się wywrotki i traktory.

Więc właśnie tak powstaje stopień wod-

ny, pierwszy z zaplanowanej serii. Bo razem będzie ich dziewięć. W rejonie Warszawy, Wyszogrodu, Plocka, Włocławka, Ciechocinka, Solca Kujawskiego, Tczewa. I dziewięć elektrowni wodnych.

— Energetyka — nie pozwala mi ochłonąć inżynier Kowalski — to tylko jedna strona zagadnienia. Ważna, oczywiście, ale nie jedyna.

Nie od razu zrozumiałem na czym polega ten plan przekształcenia Wisły w jeziorze. Plan gigantyczny, zakreślony na parę dziesięcioleci. Ale stopniowo, chociaż opowieść mego rozmowcy brzmiała jak nowela science fiction, pojąłem sens jego wywodów. Tak, to mi się zaczęło układać w obrazy, nieprawdopodobne, a jednak zupełnie realne. Zobaczyłem więc dziewięć zapór, cały system zapór i śluzę otwierającą się, aby przepuścić okrety. Powiedzmy barki, ale to nie zmienia postaci rzeczy, wielkie barki o wyporności 2500 ton każda. Do Warszawy, która stanie się w ten sposób portem morskim, zawiązują mniejsze oceaniczne jednostki.

— To była wizja sugestywna, inżynier wciąż mówił spokojnie, bez emfazy. Wzdłuż brzegów Wisły wyrastają zakłady chemiczne: będzie przecież tyle wody, wody odebranej morzu. Wody, z której skorzysta przemysł i rolnictwo. Nie tylko nad Wisłą. Część nurtu rzeki zawróci się przeciw z powrotem, na południe, w kierunku źródeł. Sprawi to kanał centralny, którym woda, przez Łódź popłynie na Śląsk.

— No właśnie — uśmiechnął się. — Jest jeszcze sprawa wycieczek, sportów wodnych i temu podobnych rekreacji, mówiąc najmodniejszym ostatnio językiem. Jezioro, które sobie fundujemy dzięki zaprze, sięgnie od Włocławka po Plock, ma rozmiary, których nie trzeba się wstydić. Akwen o powierzchni 70 km kwadratów. To chyba, jak na początek, nie mało?

2.

Więc to jest pierwszy etap budowy jeziora: włocławski stopień wodny. Idę drogą rozjeżdżoną przez pojazdy, polykając się o grudy zmarniętego błota. Troszkę inaczej wyobrażalem sobie te trzydzieści tysięcy metrów sześciennych betonu, trzydzieści tysięcy ton stali zbrojeniowej, siedem tysięcy ton konstrukcji stalowych i mechanizmów, dziesięć milionów metrów sześciennych piasku, który został dobytej przez koparki i bagrownice; bo kiedy wreszcie doszedłem do samej zapory, uderzyła mnie cisza.

Tu miała czekać na mnie wywrotka, najpewniejszy środek lokomocji na tych budowlanych rozkopach. Ale nie chciało mi się jej szukać, inżynier Karpiński z „Hydrobudowy", powiedział:

— Chodźmy.

Szliśmy przez most połączony z zapora, odwracalem głowę patrząc na wodę: z łódki opuszczali się w lodowatą toń pletwonurkowie.

— Sprawdzają szczelność zasuw pod wodą — wyjaśnił Karpiński.

Na drugim brzegu sztucznie usypanym z wiślanego piasku stało kilka wozów Drzymały, bez kół, na stalowych nóżkach.

— Pokażę panu coś, czego pan szuka — powiedział Karpiński otwierając drzwi do jednej z bud.

Młody człowiek, któremu przekazał mnie Karpiński, miał jakby znajomą twarz, znajomy grymas ust, spojrzenie.

— Gdzie ja pana widziałem? — zaryzykowałem pytanie.

— Kłosiński, Wiesław Kłosiński — przedstawił się w odpowiedzi.

Jest kierownikiem budowy zapory czołowej. Praca zgodna z kierunkiem ukończonych studiów: Budownictwo Wodne, Po litechnika Warszawska, inżynier magister.

Zanim przyjechał do Włocławka robił dla Łodzi kanalizację na ulicy Warszawskiej i pracował przy drugiej nitce rurociągu Pili-ca—Łódź. Mieszkał w wozach Drzymały, w robotniczych hotelach i na kwatery prywatnych. Dokładnie dziesięć lat na delegacjach służbowych. Bo wciąż jeszcze zameldowany jest w Warszawie, czeka tam na niego mieszkanie i żona, geodetka.

Włocławek? Jest tu od początku, lato sześćdziesiątego trzeciego. Kiedy przyjechał. Wisła płynęła w tym miejscu szeroko, jej wody rozdzielała na dwa nurty sporych rozmiarów wyspa.

Zaczęli od budowy grodzi, którą przecięli rzekę na pół, z lewego brzegu aż do wyspy. Sypani ją z dwóch miejsc, mozołnie, metr po metr, aż utworzyło się coś na kształt ogromnej podkowy. Ostatnie odniki zatykali workami z piaskiem i przy pomocy pogłębiarki: bagrownica zasysała wodę z piaskiem, pulpa nazywa się facho-wo to błoto, i piasek osiadał, osiadał coraz mocniej, aż wyspa połączyła się z lądem błotnistą na początku grobli.

Wtedy zaczęło się pompowanie wody ze środka podkowy, bo tam mieli zbudować jaz z dziesięcioma przesłami i elektrownię. Pompowanie, to była robota prawie strażacka, ale kiedy wreszcie ukazało się błotniste dno Wisły (błota było po pas, uśmiecha się Kłosiński), rzeka zaklinowana grodzią zaczęła nacierać na wzniesiony z takim mozołem wał z piasku. Szła fala powodziowa porywając skarpy, ratowali je zwirom i faszyną, zwiariowany tydzień, dzień i noc na nogach, dyżury ludzi i sprzętu. Potwarzało się to co roku wiosną.

Ale oni musieli tę Wisłę przegrodzić zupełnie budując zapórę czołową, dławiac rzekę po raz wtóry. Tym razem poszli od prawego brzegu, choć jest niedostępny, chociaż brakowało sprzętu i materiałów, które lubią się spóźniać. Wykorzystali promy: ładowali na nie krazy, dziesięcio-

Świniojócy NA BAGNACI

Ziemie tu monotonnie płaskie, nizinne. Pola w wielkich kretowiskach melloracyjnych, w biednych zagajach olchowych i mokradłach. Pośród tych pól, między kępami olszyn i zapadłkami moczarów rozciągnęły się z północy na południe Dąbrowice.

My ta nie ze wsi, Ino z osady, rzekną tuziemcy. Parafialna дума, patriotyzm lokalny. Nie bez słuszności. Gród był, miasto całą gębą. Pozostały dwa czworokąty błotnistych rynków. Ratusz niesie w niebo ząbczasty łeb wieży. Ściany w zblakłym różu, w liszczach zadrapań. Burmistrz w historii. Rajcuje GRN. Pośród brylowatej szarzyzny czworokąta, jak oaza, zieleni się budka na przystanku PKS. Kilka razy dziennie zajechał autobus. Chłopaki w plerzaczach jaskiniowców, w ganączach z tuzinami guzików i rozcięć. Podpierają budkę, plują na odległość, do celu. W kłębach dymu rzuca słowo mięsem śmierzdzące. Pod adresem dziewczyny, ich nóg, rozkołysanych zadków. Nuda gaśnie w twarzy na widok nieznanego postaci. Autobus odjeżdża. Goni za nim tęsknota i żal w ich oczach. Chcieliby choć do Krośniewic. W „Złotym Rogu” można rypanąć pół baśni. Nie smakuje wódka w dąbrowieckiej kawiarni. Za dużo fusów. Trza tak sprytnie łać pod stolikiem. W te filiżanki po kawie. Dziś nie stało tam miejsca. Za dużo kultury. Za działalność kulturalną kawiarnia zdobyła i miejsce w powiecie. Pracuje biblioteka, zorganizowano turnię wsi. 1700 mieszkańców w 300 domach wyrwano poniekąd z graj dołowego marazmu. Na dachach murowańców i tych drewniaków w ultramarynie, w zielonkawych, skudlonych strzechach stanęło 70 anten telewizyjnych. I zbudowano tam jeszcze piękną szkołę Tysiąclecia, zorganizowano SPR. Na meliorację zjechała jednostka OTK. Ciemnoty jednak nie dobito do cna.

W niedzielne południe młody chłop wodzi konia wokół podwórka. Zwierzę wali się w błoto. Tarza się. Szyja nabrzmiała w bólu. W wyszczerzonych żółtych zębach drży zbielały płat jęzora. Spory tłumek kibiców robi zakłady. O pół litra. Zdechnie albo nie zdechnie. Ta scenka rzuca światło na tamto wydarzenie. Wtedy Dąbrowice stały się sławne.

15 listopada 1968 roku. Dzień mroźny, przysypany lekko pier-

szym śniegiem. Nisko nad ziemią chude klaczki siwej mgły lizają stwardniałą grudę. Leniwo peźnie południowa cisza.

Była godz. 13.00. Od wschodu, od Chodowa niesły się suche klaszkania wystrzałów. Polowanie. Spod niebieskawej ściany dalekiego lasu wypadły dziki. Duża loszka i pięć warchlaków. Pędziły w północny kraniec Dąbrowic. Z rowów wyskoczyły sylwetki żołnierzy. Zamigotały ostrza łopat. Krzyczeli. Wezwanie kaprała zawróciło ich do kreciej roboty. We wsi dostrzeżono ten ruch i posłyszano krzyk. Heroldowym wrzaskiem ktoś wzywał do boju. Nie wiadomo kto.

Wypadli na podwórze. Dojrżeli. Chwytały za widły, siekiery i kije. Narastały nawoływania, pęczniały tłumek „przełajowców”.

Wracające ze szkoły dzieci rzuciły tornistry do rowów i przylączyły się do rodziców. Pod nogami biegnących turlały się rozszechkane psy. Biegli w krzyku, przez wieś. Łamali ploty, bili twarzami w gałęzie drzew w sadach, darli portki w agrestach. Padali na twarze, potykając się na twardej grudzie. Zdzierali do krwi dionie, łokcie, kolana. W oczach i twarzach zaciekłość. Chcieli połknąć te 100 metrów dzielące ich od zwierząt. Wpatrzni w podogonia dzików widzieli już sześć kucek czerwonego, dymiącego mięsa.

Niektórzy zataczali się, chwytali za serca i gardła. Padali wyčerpani. W mroźnym powietrzu rwały się w kłębkach pary świszczące oddechy. Odpadali nieuzbrojeni, choć w oka mgnieniu rozpruli dwudziestometrowy plot u gospodarza z krańca wsi. Liczyli się sekundy. Za późno...

Na czele gnał już wielki, 80 kilo wagi, Wronkowski. Za nim trzy mali się dzielnie Winiecki, Bardyński, Ścisłowski, Szadkowski, Dominowski. I ten szczeniak jeszcze, nieletni, Felner. Mała odległość. Mieli w uszach stuk dzicznych racic. I nagle torfowiska, wielkie, srebrzysty talerz lodu. Tam metr wody, drugi metr szlamu... W oczach wściekłość i wątpienie. Już krzyknął. Zrozumieli. Już

tylko 50 metrów! Loszka wpadła na lód. Cofnęła się. Skupiły się wokół niej młode. Pobiegła wzdłuż brzegu. Gnane bliskim rykiem nagonki warchlaki wpadły na lód. Jechały na zadach, na brzuchach. Ślizgały się i wywracały. Czołówka „łowców” też rymnęła w poślizgu. Na brzuchach, odważnie. Czoiłali się chwacko ku drgającym niezdarnie zwierzakom. Tłum błyskawicznie ramował czarnym pierścieniem tę srebrną taflę. Kocioł. Sześćdziesiąt ludal i doping, rady, słowa zachęty. W lebi Między ślipie. Widłami w bebeczył.

Jak rzymska arena. I tułkl. Widłami, siekierami, kijami, tymi sztachetami w gwoździach. Wgniatali w lód, młodziżyli kości, dogaszali drganie brył mięsa. Dogorywał kwik. Jucha szkarciła srebrno lodu. Jeszcze wykańczał „swego” dzika Wronkowski. Na leżać. Bał się. Zmniejszał tak ciśnienie swego ciała.

Potem był ten triumfalny powrót. Ciągnęli za nogi te skrawione zewłoki. Poszarpywali kupki polamanych kości. Po grudzie skakały rozbite łby w zbielałych ślepiach. W tych ślepiach trzęsły się ulomki szarego nieba. Psy dopadały świeżego mięsa i lizaly ciepłe ślady krwi. W śmiechu kopali psy, aż wpadały w prześnione brudzy. Szli w wiencu tumu. Większość podszcucha zawiścią. Ten i ów przymilał się. Chwalił / czyn tych, co stali się bohaterami dąbrowieckiego grajdołka. Tylko część świniojócy podzieliła się łupem. To źle.

W stodołach i oborach zawisło pięć dzicznych truposzów. Psy ciągnęły w opłotki węże bebeczków. Mocno skwierzczaly patelnie. Z obejmie waliła woń smażonki i gorzwały. Zapach niósł się między opłotkami. Wiercił nozdrza sąsiadów. Chałupcy stały blisko. Za blisko. I za dużo było ludzi przy tym świniołowcu. Za wielu świadków odeszło z gołą ręką, z zawiścią w twarzach.

Trzy dni racyli się świniną. Po błotnistych uliczkach, po sklepikach, na zimnych przyzbach rajcowali głośno, kłóliwie i szydliwie. Ci bez łupu dogryzali świniożercom:

— Sprzedalibyście trochę tego mięsa, nie?

— Mają ponoć kobitom zrobić ciepłe majtki z tych skórek.

— Dzieci w szkole dopiliły córce Burdyki.

— Dzięczną knagą pani przyniesie. Piątki dostanie, poprawi się.

— Ychy, poprawi się, ale na wadze...

Milicjantom z posterunku MO w Ostrowach nie brak sprytu. W trzy dni po masakrze na bagnie zjawili się w osadzie. Przez opłotki, przez sady, błotnistymi uliczkami poleciał szep ostrzeżenia. Przed mundurem sąsiedzi nabierali wody w gęby. Milicjanci odjadą — oni pozostaną. Przez miedzę. W świętej wojnie na jezory, w złym błysku oczu, w zaciśniętych piąchach. Dopiero po rewizji wpadli we współzucie, w przekpinke,

odkryli karty. Chłopskim rozumowaniem — Ciampioki, damy nie chłopcy! Tak dać się złapać! Bobaterzy zmienili skórę. Popadały ze łbów aureole gierojców. Żądza krwi zgasała po sutym jedzeniu. Zbladł triumf w oczach i głosie. Lis zagnieździł się w oczach, w języku, w niespokojnych ruchach rąk. Ten lis wiercił kitą w ich poczynaniach.

Burdyka część mięsa i skórkę za grzebał w szopie, zoną gładzi, że nie ma klucza do tej szopy. Wsiąkł. Chłop dzika oprował w stodołę, to i tam musi być. Podprowadziła funkcjonariusza do stodoły. Sama smyrnęła ku szopie. He, he, he! U Ścisłowskiego znalazł skórkę w beczce na strychu. Przywalona szmatami, rupieciami. Ścisłowski wpadł z pola do chałupy. Wrzasnął:

— Kobito, chowej skórę, gliniórze szukają!

Spostrzegł milicjanta nad protokolem, stropił się. Już było po rewizji. Szadkowski myśliwskie trofea wepchnął do stodoły Wronkowski tamże. Głęboko pod snopkami w sąsięku.

Z głodu, z biedy tłukli te zwierzaki? Ale bojąć tam! U Wronkowskiego 9 ha gruntu IV klasy. U Winieckiego 15 ha, tyle że gospodarz marny. Najuboższy Ścisłowski, ale w cukrowni sezonowo dopełnia kiejde. No to z jakich pobudek, do jasnej Anielki?

Piętą skórkę nie można było znaleźć. Winiecki miał szwagra, agronoma gromadzkiego Ten przyzedł do komendanta MO. Zaczadzony, ze ība mu się kurzyło. Jął komendantowi skubać wasy, drzazge w mózg wwiercać. Dziką szkodnikami, mówił, nikt nie winny. A ten posterunek w Ostrowach, to cały rozchromoli. On, agronom, do Komendy Wojewódzkiej pójdzie. Komendant w kaszę se pluć nie dał. Poustawiał szwagrów. Za dwa dni Winiecki osobiście złożył skórę na posterunku.

Potem wszyscy zasuwał na jedno kopyto. Ze dziki szkodniki.

Słyszeł w radio. Tępić trza. A jeszcze w drodze do prokuratora nieśli z sobą butę. Pajaków mogą im do d... napuszczac. Nic nie zrobi! Teraz lis wyłaził na dobre. Nawet sąsiedzi dostrzegli: — Po cośta, cymbolty, chowali te skórkę, jak szkodniki? Lis zszalał kitą. Oni tych dzików nie pozabijali, same zdechły. Aby z lodu poślągali. No nie, trochę bill. Zapałkami. Bujda! No to patyczkami. Cienkimi z chrustu (he, he)!

Wronkowski to w ogóle niewinny. Położył się, rękę wyciągnął i zewłoki martwego dzika z lodu. A nie, nie tak było! Ten głupi dzik sam za nim połażł. Wepchnął się do stodoły. Nie chciał wyjść. Musiał go zaraćbać.

Prokurator w Kutnie zły człowiek. Bez krzty humanitaryzmu. Nawet dzieciństwa podejrzanym nie sprawdził. A może mieli trudne? Może ich ongi swińska gnójką oblał, przez co czuli wstręt do swińskiego gatunku? Albo nienawisć.

Dziki 10 tys. warte, a oni już 20 wywalili na kaucję. Dwóch poznało smak arsztanckiej celki. A ten Dominowski... Taki czupryniasty, kudłaty, młody, gniewny na parafie całą Obciapali plerzę z kretemsem. Uszy odstaly na pół milii. Opadły. Z pokory i wstyd. — Głupole, za to, cośta teraz wybulili, trzy swiniaki można kupić.

A to jeszcze nie epilog. Są, i sankcja wiszą nad nimi.

Wala się w deki. Nigdy w życiu tego nie zrobił. Co za głupota! Czy tylko głupota? Teraz skruca, pokora, wstyd w ich oczach i głosie. Uciekli lis. Tchórz biega w ich oczach, w ustach, w zgnębionych postaciach. Kiedy tchórz puści cichacza, kury spadają z grzędy. Od tchórza cuchnie. I ludzie się odwracają. Trochę pęka solidarność wsi. To dobrze. Bo kto w ohdny sposób potrafi pastwić się nad zwierzęciem, potencjalnie zdolny jest uczynić to samo ze swoim bliźnim. Z Człowiekiem.



Fot. W. Puchalski

tonowe ciężarówkę, i budowali od prawego brzegu przyczółek z kamienia. Krazy wyjeżdżały z promów na ląd, włączało się dźwignię i grad kamieni walił się ze skrzyni w wodę. Przyczółek, sześćdziesięciometrowy, rósł w oczach. Promy załadowane samochodami po pięć, przeprowały się przez rzekę ruchem wahadłowym. Musieli się śpieszyć. W tej ogromnej podkowiej jamie o kruchych ścianach z piasku, na który wciąż nacierała woda, stanęły już żelbetowe przęsta jazu i korpus elektrowni.

Więc zaczęli budować przyrmę lewo-brzezną, metr po metrze Srodkiem, pomiędzy nią a przyczółkiem, płynęła sobie coraz gwałtowniej Wisła. Miała już tylko 200 metrów szerokości, dusiła się w piaszczanym gorsecie, jej prad osiągnął już takie szybkości, że żadna łódź nie mogła przepłynąć przez kipieli, żaden statek.

Dni biegiły teraz coraz szybciej. Czwartego października 1968 r. Na budowę stopnia wodnego przyjeżdżała minery. Zalozyli ładunki, gruchnęło, chmura piasku uniosła się w górę. Przez ogromną wyrwę w podkowie woda wdarła się na beton.

Siódmego października: minery wysadza ją przyrmę piasku od strony wody górnej. Wisła, teraz już szersza, popłynęła przez jaz.

Wtedy przyszło to najważniejsze: przegrodzenie Wisły. Sześć lat czekali na ten moment, dokładnie sześć lat. Od jazu do prawego brzegu rzeka miała już tylko 120 metrów szerokości. Podsypani piasku pogłębiarkami i zabrali jej jeszcze 8 metrów. Teraz liczyły się już centymetry, prad, który powstał, wrznął się w spokojniejszą nurty wody na kształt ogromnego sztyletu, widzieli ten ślad.

Mieli jeszcze trzy dni: równo trzy dni na przygotowanie promów, ciężarówek, sprzętu. Ale dwa promy w ostatniej chwili zawiodły. Chcieli z tych promów utwo-

żyć most i z niego dopiero sypać piasek, moźlinie tona za toną. Sposób sprawdzony, pewny. Były tylko dopisała pogoda, ale kto może za nią zaręczyć jesienią, kiedy wieją gwałtowne wiatry i kiedy wody rzeki pędzą jak oszalałe ku morzu.

To była ich ostatnia szansa, aby zamknąć rzekę jeszcze w tym roku: zdecydowali się runąć na Wisłę od czoła. Sposób ryzykowny, francuski, ale skoro tym samym udaje... Wiedzieli jaką biorą na siebie odpowiedzialność.

Dziesiątego października. Przygotowali krazy, 25 na każdą zmianę, dużo było tego sprzętu, ale operacja tego wymagała. Ludzie wiedzieli co mają robić ale denerwowali się: szło o wielką stawkę.

Potem kolumna samochodów ruszyła. Sunęły powoli, tak im się przynajmniej zdawało, sunęły tak dzień i noc, znów dzień, sypały piasek, bez przerwy, czterdzieści godzin. To było trzynastego października, go dzina 22. W niebo wystrzeliły na wiat rakiety, wojsko się postarało. I wtedy wszyscy, którzy się zbrali na brzegu zobaczyli w świetle dogasających fajerwerków, że Wisła płynie już tylko przez jaz: zmieniła koryto.

3.

Teraz pozostał im jeszcze montaż turbin elektrycznych i uszczelnianie zasuw jazu. Henryk Buraczewski, kierownik zmiany w silowni, prowadził mnie w dół po wąskich stopniach, do wnętrza zapory. Mijamy długie, oświetlone korytarze podwodne: do szczerłych żelaznych drzwi dobiła się Wisła. Trochę marnie, tyle tutaj wilgoci. Buraczewski zatrzymuje się i powiada:

— Wie pan, piękne są sierpniowe noce na budowie. Tyle słowików i ten plusk wody.

To dlatego, że od trzech lat nie miał urlopu.

Do wody jest przyzwyczajony, często się wyprawiał na jeziora, pochodzi z Ol-

sztyna. W sześćdziesiątym czwartym ukończył Politechnikę Warszawską. Ozeńił się w stolicy i przyjechał z żoną do Włocławka, mieszkał w hotelu robotniczym. Tam urodziło im się dziecko.

Ale kto się zdecydował budować zapora, musi wyrzec się osobistego życia. Jest tak niewiele czasu. Może kiedyś uda się nadrobić te lata, które tutaj składają się z samych emocji.

— Wie pan co, chodźmy do biura pogadać — zaproponował widząc jak się trzęsę w kusym paletka — tam przynajmniej grzeją

To był taki maleńki drewniany barak, rozgrzana do czerwoności koza z żelazną, podzwiała rurą i stół przy oknie.

Emocje? Spojrzył na mnie i jakby się uśmiechnął i zaczął opowiadać jak zalewali wodą dół fundamentowy.

Więc najpierw musieli zmniejszyć siłę uderzenia wody, która wedrze się przez piaskowe wały. Sprowadzili pogłębiarkę. Ale podczas przepompowywania okazało się, że jedna zasawa nawala. Przez szczerlinę woda wdarła się do wnętrza elektrowni, zalała pół galerii. Musieli sprowadzić pompy strażackie, osuszili. I znów zaczęła pracować pogłębiarka, pompowała wodę do podkwy. A potem przyjechali minery, żeby skończyć z gróźnią, która nie była już potrzebna. Wtedy oni, ludzie z silowni, zawołali panią Stasię, biuralistkę. Dał jej butelkę szampana i zrobili chrześcijańską matką elektrowni. Zobaczyli jak szkło rozbiła się o filar przepławkowy, niektórzy zdęli czapki. Chciało im się skakać z radości.

Ale to jeszcze nie koniec tych przygód. Bo jeszcze trzeba wspomnieć pożar, który wybuchł o piątą nad ranem w niedzielę, akurat wtedy gdy Kulej walczył w Meksyku. Siedzieli wszyscy przy telewizorach, kiedy rozległ się sygnał alarmowy i już nie mogli zobaczyć, czy Kulej zwyciężył:

popędzili do zapory. Inżynier Sokoliński, inspektor nadzoru, wyrwał strażakom siłkawkę i poszedł z nią na ogień. Każdy robił co mógł, ugasił prędko, zanim płomień zagroził turbozespolom.

— Młody pan — powiedziałem Buraczewskiemu, kiedy urwał i zerknął na moje notatki.

— Młody — zgodził się. — Ale już tak jest, że starszego człowieka trudno dostrzec na tej budowie.

4.

Są młodzi, trzydziestoletni. No, może jeszcze parę lat datoby się dorzucić niektórym. Zimą wywijają koźły na śliskich przejściach, latem słuchają plusku wody i klaszkania słowików. Tyle lat po hotelach, tyle lat włóczęgi z budowy na budowę. To już weszło im w krew, inaczej nie potrafią.

Czy ich znalazłem? Spotykałem już takich jak oni w Turaszowie, na Śląsku, w Solinie. Nieważne są nazwiska i twarze: liczy się postawa, zaangażowanie w pracę.

Teraz budowa się kończy, jeszcze parę miesięcy: krazy odjadą do swoich baz, sześć turbin elektrowni zacznie się obracać dając prad, zapora wtopi się na zawsze we włocławski krajobraz.

Kwiatkowski, technik-geodeta mówi z lekką pretensją:

— No cóż szkoda, że pan nie wybrał się latem. Prawy brzeg Wisły jest naprawde piękny. Mogłby pan zobaczyć krzak Mojżesza, który wgląda jak płomień. A to tylko olejki eteryczne.

Nie nie przyjadę tu latem dla krzaku Mojżesza. Ich przecięć już tutaj nie spotkam, pojadą gdzieś dalej. Może do Czorsztyna, bo tam się teraz będzie budować zapora, może do Krasnojarska, może jeszcze dalej. Więc po co przyjeżdżać nad Wisłę, choć już będzie jeziorem.

KONRAD FREJDLICH

Kora

Kora przyszła sama. Stała pod drzwiami, ze swoją sierścią ostrą brązową, z ogonem krótko przyciętym, ze swoim głodem. Jak trafiła, w samym środku miasta, na trzecie piętro wielkiej kamienicy, pod moje drzwi akurat, duża taka i młoda, o tym później myślałem.

Została już ze mną, a do mieszkania weszła śmiało i swobodnie, jakby tu ją powitał świat. Zdziwienie było w jej oczach, że tak ciasno, zakreśliła się potracając sprzęty, i na ziemi, z głową na grubych łapach przyglądała się, jak nalewam do miski sprzed dziesięciu lat, po dawnym psie, mleko — bo nic innego nie miałem.

Kora mieszkała już od paru godzin, wtedy przyszła Baśka.

— To jest Kora — powiedziałem, i Kora patrzyła mi w oczy swoim świeceniem złotym, zakochanym.

— Nie mogę — skarżyła się Baśka — w jej obecności nie mogę, ona patrzy jak człowiek. Ona zazdrośna jest. Jak człowiek.

— Przecież to tylko pies — śmiałem się — a poza tym wieczór, ciemno.

— Widzę jej oczy w ciemności. Widzę jak patrzy. Pies tak nie patrzy. Tak patrzy kobieta — mówiła Baśka.

Wyprowadziłem Korę do kuchni i zamknąłem drzwi. A gdy już było najlepiej, Kora zaczęła wyc.

— Nie, nie — zerwała się Baśka — to niemożliwe, ona mnie zniszczy. Oddaj ją komuś, wyrzuc stąd, po co ci ten pies taki wielki, żeby to jeszcze pies, ale to suka, rozumiesz, suka!

— Suka? To lepiej, suki wierniejsze są. Oddać? Jakbym wziął, ale sama przyszła, wybrała mnie sama. Będę czekał, może sama odejdzie.

— To chodź — mówiła Baśka, ubierając się szybko — pójdziemy do parku, niech zginię.

Nie zginęła. Przy nodze szła. Ręką opuszczoną dotykałem jej głowy gorącej. I wróciliśmy do domu.

— Wybieraj — powiedziała Baśka za pięć dni.

A w moich myślach była tylko Kora. — No, wybieraj. Niemożliwe przecież tak we troje żyć.

Łaziliśmy długo w ulicach, i tramwajem nieraz pod miasto. Kora dużo ruchu potrzebuje. Polowania marzą się jej. Prześiąkłem wiatrem i trawą.

— Już nie mogę — skarżyła się Baśka. — Co ty widzisz w tej suce?

— Co w niej widzisz?

I nie mówiłem już nic.

A myślałem: może właśnie to, co ona we mnie widzi. Ale co? O tym później myślałem.

A kiedy?

Kochałem ją.

— Kochasz ją — mówiła Baśka płacząco.

— Bardziej niż mnie.

Kto wie, może i prawda. No bo co?

Z Baśką mogłem się tylko ożenić.

— Już czas, czas — mówiła.

A ja wiedziałem, że ten czas już minął. I chyba nie wróci. A Kora — ona patrzyła inaczej. Nikt tak nie patrzył na mnie. Kobieta ładna.

— Kora, kochanie — mówiłem szarpając ją za uszy — dlaczego nie jesteś człowiekiem. Dlaczego.

Na to nie potrafiła odpowiedzieć. Ale widać, że chciała bardzo. I to było dobre. Najlepsze.

Jej złote patrzenie. Co widziało. Jakie piękno we mnie, w dużym i brzydkim czło- wieku. Jaką miłość, której nikt nie odkrył. Jaką dawano wierność, której nikt nie mógł dać.

Dotykała mnie brązowym nosem chłodnym.

— Kochana — szeptałem jej w ucho, i byliśmy razem jeszcze wiele dni.

— Już mnie całkiem nie kochasz — powiedziała Baśka, kiedy przyszła pierwszy raz od dawna.

Zastanowiłem się nad jej słowami, bo wydały mi się słuszne niebywale.

— Tak — odparłem, głaszcząc ostrą sierść Kory. — Już całkiem nie.

I odeszła na zawsze.

O tym czasie ani pomyśleć. Lekkie światło słoneczne dawały oczy Kory. Zylem w tym świetle. Tak naprawdę, pierwszy raz odkąd zacząłem żyć.

O tym dopiero w dzień deszczowy myślałem, w szary blask przytłumiony sadzą, z chmur zlatującą obrzmiałych. Prowadziłem ją tam, Korę z głową zwieszoną nisko, do gmachu z rzeźbą konia wyswieconą deszczem.

— Nie bój się, małutka, dobrze będzie. Musi być dobrze. Mamy tyle świetnych wynalazków, tyle rzeczy spalających ból, my ludzie. Jeden zastrzyk, jakiś proszek w misce z mlekiem zmieszany, tydzień może, może najwyżej dwa...

Patrzyłem na nią, jak poruszała się z trudem, na jej głowę brązową pomoczoną deszczem, łapy wysokie i grube stawały niepewnie jakby ulica z lodu.

— Jeszcze trochę, no, jeszcze trochę — głośno mówiłem, wtedy ona wzrok unosiła pobielony mgłą, i wierzyła w moją nadzieję.

Korytarz ciemny i długi o zapachu starych, zmodrowanych koni, czekaliśmy tam długo, leżała na chropawym betonie, nie słysząc już co mówię, coraz mniejsza i mniejsza, jakby twardość betonu wciągała ją w siebie z cierpliwością zachłanną. Otworzyły się drzwi brudnobiałe.

— Wstań — powiedziałem.

Nie wstała. Próbowałem ją podnieść. Lekarz zbliżył się szybko.

— Nie trzeba — rzekł. — Tu zobacz.

Schylił się do Kory. Przewrócił na bok ją zmęczoną i senną. W oczy patrzył, a ja nie widziałem już ich barwy.

— Tak — powiedział, prostując się przede mną powoli, a wysoki był. — Ona tu już zostanie.

— Na długo? — zapytałem, patrząc w jego szarawą twarz.

— Na zawsze.

— Na...

— To przykre — rzekł po chwili, w której Kora już powinna wstać i oprzeć się na mnie zbrudzonymi łapami, gdyby istniał Bóg. — Ale nie trzeba, nie trzeba — mówił — niech pan wytrze twarz.

Jego spokojny głos monotonnie dudnił za mną w korytarzu. A dalej deszcz spadał mocniej niż przedtem. Mogłem już myśleć o niej. Papieros w palcach się rozlał, ręce mokre.

21—25.II.64

STANISŁAW KASZYŃSKI

Perspektywy

Gdyby tak można było wziąć znów elementarz i z wstępnych liter stworzyć jakieś słowo, groźne lub miękkie, wielkie albo małe,

jedno na zawsze i jedno na chwilę.

Gdyby tak można było znaczenia nigdyś troskliwie cenione ustrzec przed ciosem tępych przeinaczeń, ukryć, podźwignąć,

lub zgubić na chwilę. Gdyby tak można było pozbyć się nawyku szukania twarzy odbiegłych przez lata,

i nie wspominać,

ujrzeć choć przez chwilę.

Gdyby tak można było pierwszy grzech powtórzyć:

pójść zaraz z tobą na wilgotną miedzę, w splecione kłosy runąć i pozostać do brzasku,

lub

tylko przez chwilę.

Z rodowodu

W moim domu nie wisiał Picasso

(ktoś już podobnie się zwierzał)

Między sklepem a sypialnią spoczęło życie rodziców

Czasem tylko gdy nadchodziły jesienie zimy

Ojciec stroskany podatkami udreżony polityką

(dławiła go też myśl o wojnie)

Uciekał na karty Może coś pił

Wiedziałem o tym szlochom matki

Raz na pięćdziesiąt trzy lata (to ojciec)

Był na wywczasach

Gdzieś u zaleszczyckich pagórków

Przed pożogą

Powrócił stamtąd ogorzany ze skrzynką winogron

Bliższa go ziemia-kula wchłonęła

Jakiś flirt

Jakiś teatr amatorski (to ciągle ojciec)

I jeszcze kiedyś o wieczorne deszcz mi objaśniał

(Nocą gdy nikt nie widzi chmura zanurza się w rzekę,

napełnia się ciemną wodą i pluska potem srebrem)

Na tamtych brzegach wiele mógłbym zobaczyć

Patrząc

Lecz wszystko pajęczo — zawodne

Sam z sobą teraz Na spienionych pochyłościach

W toni zanurzony

Sam sterujący niezdarnie

Drylujący

mieckiego nie znam, więc w oryginale nie przytoczę, napis po polsku brzmiący w przybliżeniu: każdy po swoje. Więźniowie byli tam zatrudnieni w kamieniołomie. Wychodzili do pracy przed świtem, szarawką jeszcze, wracali w ciemności. Rozbijali młotami wielkie bryły kamienia na mniejsze, to jedni, drudzy brali te mniejsze, ale też duże, bo ważyły mniej więcej po pięćdziesiąt, siedemdziesiąt kilogramów, i prze- nosili je na inne miejsca. Jeszcze inni ładowali je na wózki żelazne i po szynach odwozili gdzieś, to nieistotne, chodzi mi bowiem o jednego z tych, którzy przeno- sili. Otóż ludzie tam bardzo szybko ślabli, padali w drodze, kamienie miażdżyły im nogi lub ręce, to nieistotne, bo Niemcy i tak wtedy zrzucali ich w przepaść. Trze- ba powiedzieć, że tłuczenie kamieni odby- wało się na podestach olbrzymich, bodajże dwustumetrowej ściany, i nosiciele wędro- wali w dół i w górę wąskimi ścieżkami nad przepaścią. Rozkładające się w prze- paści trupy ludzi zabierano co kilka dni, wtedy, gdy woń przykra podchodziła do wartujących po drugiej stronie, w dole, Niemców. Jeden z nosicieli, bodajże Żyd, ale nie wiem na pewno, ponieważ mnie tam nie było, widział to natomiast mój starszy brat, lecz jest on od dłuższego czasu w Anglii, trudno więc ustalić ten szczegół, mało zresztą istotny, myślę jednak, że był to Żyd, ponieważ właśnie Żydzi najczęściej ucierpieli od Niemców, no i, myślę, wobec kogoś innego Niemcy zastosowaliby swoje słynne miejscowe prawo, którym się wów- czas tam szczylili i bawili. Ponieważ pra- wa tego w tym przypadku nie zastosowa- li, są wszelkie dane, by sądzić, że był to Żyd. Otóż ten Żyd osłabł; był słaby i wszyscy to widzieli, zarówno ci w dole, jak i ci na górze. Nosił kamienie, ale choć nie padał, to chwilejąc się i zwalniając tempo hamował cały cykl produkcyjny. Kilka swoich podróży w górę i w dół ściany odbył w ten ryzykowny sposób, aż Niemcom znudziło się tolerowanie tego stanu rzeczy. Kiedy wracał na górę po kolejnym kamieniu, kazano mu wspiąć się na najwyższy podest i skoczyć w dół. Na tym właśnie najwyższym podestacie pracowa- wał mój starszy brat. Żyd z widocznym trudem, ale i z widoczną obojętnością wszedł na wskazane miejsce, i odetchną- szy głęboko, skoczył. Brat mój nie przer- wał pracy, ponieważ to nie było dozwo- lone, nikt zresztą tego nie uczynił, ale spojrzawszy ukradkiem w dół, zobaczył wartujących Niemców, schodzących do kamienistego żlebu. To go zainteresowało. Nie mógł jednakże zaspokoić swojej zro- zumiałej ciekawości. Po chwili zresztą za- pomniał o tym drobnym incydencie. Ocio- sał następne dwa glazy, mogło to trwać

pół godziny, kiedy zobaczył tego samego Żyda, znów wchodzącego na górę. Żyd wchodził z jeszcze większym trudem, ale i z jeszcze większą obojętnością, stanął tuż obok mojego starszego brata, odetchnął głęboko i skoczył. Tym razem już nie wrócił, przypuszczalnie więc skok był udany. Nocą w baraku starszy brat mój usłyszał przed snem szepcenię dwóch ludzi, pracu- jących przy żelaznych wózkach. Jeden z nich opowiadał dokładnie to, co działo się na dole po pierwszym skoku Żyda. Był to bez wątpienia Żyd, ponieważ nie zastoso- wano wobec niego prawa łaski, które brzmiało: kto spadnie z góry, a nie zabije się, zostanie natychmiast zwolniony z obo- zu. Prawo to, choć absurdalne, spotkało się z równie absurdalnym wyjątkiem. Otóż kiedy Żyd poruszył się wkrótce po upad- ku, wszyscy Niemcy zbiegli się obejrzeć tego szczęśliwca. Ale on wówczas popeł- nił błąd, który, być może, zadczył o jego losie. Podniósł się, uklonił zebranym strażnikom i powiedział: przepraszam. Po- wiedział to po niemiecku, a ponieważ nie znam niemieckiego, nie wiem jak słowo to brzmiało w oryginale. Szczegół zresztą ma- ło istotny.

Skończyliśmy kolację. Magda dopiła swoje wino. Starsi panowie, po krótkiej przerwie, dalej sączyli stare, klarowne tanga.

Uśmiechnęła się. Położyłem rękę na jej dłoni.

— Zatańczysz?

Dobrze było mi być razem z Magdą w tym powolnym, nie męczącym tańcu, choć właściwie nie lubię tańczyć.

— Już zapłacone — powiedział Andrzej, gdy wróciliśmy.

Padął deszcz. Przed hotelem Andrzej otworzył samochód.

— Nie chce mi się wracać — powiedział z żalem — ale muszę. Każdy ma swoje sprawy, które wiążą człowieka jak łań- cuch.

Jego samochód odsunął się z charakte- rystycznym szelestem opon po mokrym asfalcie. Lubię jeździć tą szybką i szeroką, choć starą maszyną. Patrzyłem na czerwone, drgłiwe niktające światła. Magda po- ciągnęła mnie za rękaw.

Na górze pokój był chłodny, wzięty pierwszy wilgocią jesieni. Rozebraliśmy się szybko.

— Brr — wzdrygnęła się Magda, wskaku- jąc do śliskiej pościeli.

— Mój, mój — szepnęła, ogarniając mnie zziębniętymi rękami.

Zaśmiałem się i zgasiłem światło.

Łódź, C.W., 11.II.64.

ANDRZEJ BRYCHT

Każdy po swoje

Jak wyszliśmy z hotelu, padał deszcz. — Zostajecie? — spytał Andrzej. Spojrzałem na Magdę. Mrugnęła okiem. W szarym świetle jarzeniówek zobaczy- łem jej zgrabny uśmiech.

— No? — niecierpliwł się Andrzej, pod- nosząc kołnierz płaszcza.

— Ależ pada... — zamruczała kapryśnie Magda. — Zostajemy, w taki deszcz nie ma co jechać.

— Cholera — ześlizgił się Andrzej — nie lubię sam jeździć po nocy.

— Jeszcze nie noc — powiedziałem. — Dziewiąta.

— Ale ciemno, zawsze śpiączka mnie bierze.

— To sobie śpięwaj — powiedziałem. Szliśmy na kolację. W małej uliczce za hotelem świeciła restauracja, wyłożona gru- bo brązowym drzewem. Zespół starszych panów grał serię równie starych tang.

— Napijesz się?

Kiwnęła głową, roztarła chłodne palce.

— Ma pani wyjątkowo piękne ręce — powiedział Andrzej.

On rzadko chwalił. Było mi przyjemnie. Magda bawiła się solniczką, demonstrując mu swoje ręce. Przynieśli wódkę.

— Wolalabym wino — powiedziała.

Przynieśli wino, właśnie to, które wy- brała.

Jedliśmy kolację. Tamte dwa kieliszki sam wypilem.

— Wiesz — powiedział Andrzej. — To był początek. Lubiał opowiadać przy jedzeniu, najczęściej przykre historie, z wojska, z tak zwanego życia.

— W pewnym obozie — mówił, krojąc ostrożnie zimny plaster szynki na wąskie paski — bodajże we Flossenburgu, nie je- stem pewien, wisiał na bramie napis, nie-

Powieści L. Gomolickiego coraz częściej stają się grą między autorem a własnym dziełem, autorem a wydawcą, autorem a krytykiem. Używam tutaj słowa gra, bo to pisarstwo nie jest tylko dyskusją. Kryje się w nim coś więcej. „Dzikie muzy” częściowo odsłoniły niektóre założenia autora. I tutaj decydującym momentem jest rozprawa z postawą pamiętnikarza-moralisty.

Zwróćmy uwagę na te dwa człony określenia postawy autora. Bo przecież jest moralistą i jest pamiętnikarzem. Jednak samo założenie powrotu do źródeł, poszukiwania sensu biografii — czy tylko własnej? — biografii która nie jest zbiorem wiadomości, jest czymś więcej i czymś mniej jednocześnie, narzuca szereg pytań pod adresem literatury i nie tylko literatury.

W XX wieku wykształciło się kilka nowych, już typowych, postaw człowieka piszącego wobec własnego dzieła i rzeczywistości. Przede wszystkim postawa bezradnego obserwatora wydarzeń. Rzeczywistość jest zbyt skomplikowana, zbyt wielokierunkowo uwarunkowana, by jej zrozumienie było możliwe. Tutaj tkwią źródła niewiary w literaturę, niewiary również w każdą formę pamiętnika. Pisarstwo jest fałszowaniem rzeczywistości. Literatura wobec tego jest niemożliwa. Takim dziełem, które musiało być fałszykiem, musiało być sfalszowane, jest powieść pisana przez bezimiennego autora, która musi stracić swój sens, jeżeli taki posiada, po korektach redakcyjnych, zanim jeszcze dotrze do czytelnika.

Ze zrozumienia własnej bezradności wywodzi się również postawa kreacyjna. Skoro bowiem nie możemy powiedzieć prawdy, musimy konstruować jej namiastkę. Dzieło jest w tym wypadku nadawaniem sensu rzeczywistości a nie adekwatnym jej rozumieniem.

I wreszcie autotematyzm. Rozumienie jest zabiegiem porządkującym, jest jednoczesną ingerencją w badany przedmiot. Proces poznania zmienia poznawaną rzeczywistość i dlatego tak ważne jest zwrócenie uwagi na samo poznanie.

L. Gomolicki poddał próbie wszystkie te postawy i od wszystkich odsunął się, nie kryjąc rozczarowania.

Na tej drodze musiał pojawić się happening. U podstaw wszystkich wymienionych koncepcji pisarstwa a więc rozumienia rzeczywistości, tkwiło założenie, że poznający podmiot i poznawany przedmiot są bytami jakościowo różnymi, oddzielnymi od siebie. W happeningu próbuje się połączyć te rozdzielone dotychczas sfery. Stworzył on dla sztuki nową możliwość. I tej możliwości nie zlekceważył L. Gomolicki. Próbą happeningu była jego ostatnia powieść „Wydarzenie”. Krytyka dostrzegła w niej tylko

że „Dzikie muzy” jeszcze przed ukazaniem się w formie książkowej podobaly się, a „Wydarzenie” wzbudziło tyle zastrzeżeń. Tłumać to sobie tym, że w ostatniej powieści autor wciągnął w grę te elementy, które w naszej kulturze cieszą się szczególną sympatią. I mimo niemożności ucieczki od postawy obserwatora w wielu wypadkach wzbudzają w czytelniku szereg skojarzeń szczególnie miłych, sympatycznych. Istotne są w tym wypadku mity dzieciństwa, młodości, wtajemniczenia w sztukę, i wreszcie

go postaci to po prostu wydarzenia z życia samego autora. Ale gra zaczyna się dopiero w tym momencie, kiedy autor zaznacza, że ten pamiętnik nie jest pamiętnikiem. Mówiliśmy o tym, że podmiot poznający i poznawany przedmiot są traktowane jako jedność. Popatrzmy teraz, jak to zostaje realizowane właśnie w „Dzikich muzach”. Czytający i piszący o literaturze często odwołują się do siebie te trzy sfery: autor — dzieło — czytelnik. L. Gomolicki je łączy. Dzieło jest grą z samym sobą — powrót do źródeł w celu odnalezienia i zrozumienia podstawowych elementów konstytuujących jego osobowość. Była kiedyś popularna formuła: styl to człowiek. L. Gomolicki ujawnia w podjętej grze szereg innych nierozdzielalnych nici wiążących autora z jego dziełem. Widać wyraźnie, jak nawzajem wpływają na siebie. Mało tego — Gomolicki podejmuje grę z czytelnikiem, który jeszcze nie zna jego książki. Jest tam i dyskusja z krytykiem, dyskusja z czytelnikiem, i z bibliotekarką... Zasadą jest, że wyzwanie rzucone krytykowi nie należy do faktów znajdujących się już poza światem konkretnej książki. Książka i recenzent piszący o niej od razu zostały związane w rzeczywistość społeczno-kulturalną współczesnej Polski. To, co rozpoczęło się w „Dzikich muzach”, ta gra, czy happening toczy się dalej. Dzieło nie daje się oddzielić od czytelnika i w tę grę został wciągnięty recenzujący książkę.

„Dzikie muzy” są przygodą i dobrze, że nie dają się opisać tradycyjnymi metodami. Poza tym to książka pełna uroku, który czytelnicy powieści L. Gomolickiego zdążyli już ocenić — świadectwem tego rosnące uznanie dla pisarza.

L. Gomolicki: *Dzikie muzy*. Łódź. 1968. Wyd. Łódzkie. zł. 10.

JERZY PORADECKI

Tańczące MUZY

rozpad osobowości, kruszenie się całościowej wizji rzeczywistości. Powieść była dla recenzentów luźnym zbiorem mniej lub bardziej udanych fragmentów. Tymczasem trzeba pamiętać, że jedynie poprawnie sens happeningu może ocenić nie oglądający go z zewnątrz widz, lecz czynny jego uczestnik. Widz w dalszym ciągu jest oddzielnym od przedmiotu podmiotem poznającym. Zlekceważono tutaj podstawową w happeningu zasadę jedności obydwu.

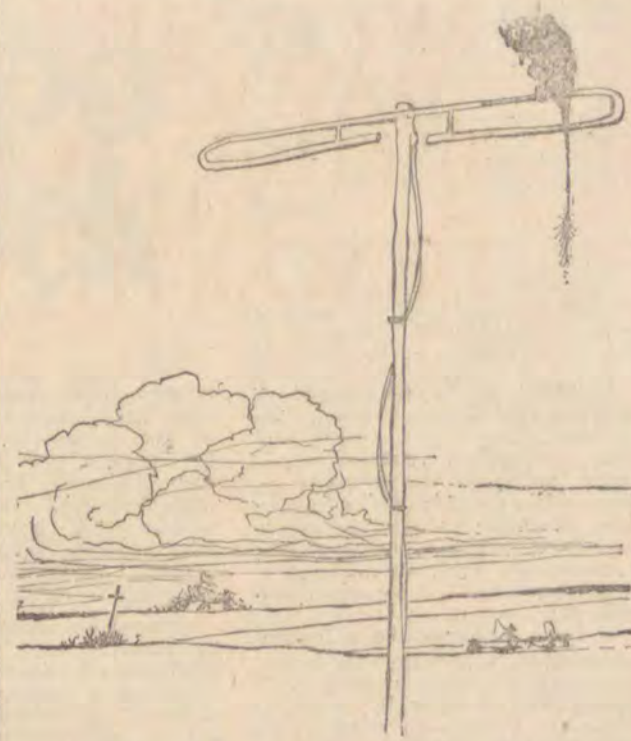
W świetle tych założeń jasna się staje nieprzystępność klasycznej formuły recenzji. Czytelnik musi być uczestnikiem gry a nie jej obserwatorem. Stąd i recenzja z pozycji obserwatora musi być chybiona.

W tym, co piszę, próbuję podjąć z autorem tę grę. Widzę bowiem „Dzikie muzy” jako jeszcze jeden happening. I jestem zdziwiony,

to, co od dawna ceniono u Gomolickiego — tkwiącą w jego pisarstwie nieustanną obronę mitu śródziemnomorskiego, tak przecież bliskiego i drogiego umysłowości Europejczyka (mówię tutaj o obronie w sensie wskazywania na nieustanną aktualność problematyki wypracowanej u początków cywilizacji właśnie w rejonie Morza Śródziemnego). Przekorna to jednak obrona, skoro łagodne, spokojne i mądre muzy Apollina zastąpiły zapomniane dotychczas dzikie muzy.

Wspominałem już o tym, że L. Gomolicki podjął grę z czytelnikiem, wydawcą, krytykiem, z samym sobą. I to wszystko jest właśnie w „Dzikich muzach”. Narrator powieści nie jest czymś zupełnie odrębnym od pisarza. Wiele elementów je-

Rysunki Szymona Kobylińskiego



Zygrzy! Zygrzy!



Poloneza!

ZENON RUDNICKI

PIPPA już nie zatańczy

Ostatnio ukazała się na półkach księgarskich nowa obszerna praca, obok której również nie można przejść obojętnie, nie tylko ze względu na osobę autora, ale i ze względu na podjęcie skomplikowanego tematu, jakim jest twórczość Gerharta Hauptmanna. Monografia budzi więc zrozumiałe zaciekawienie. Już bowiem od dawna nurtują czytelników i historyków literatury pytania: kim był Hauptmann, jak należy ocenić jego obszerną i różnorodną twórczość, jakie są perspektywy tej twórczości? Zdzisław Zygiński udziela w dziesięciu rozdziałach, nie licząc wstępu i zakończenia, swojej monografii wnikliwej i w pełni przekonującej, obiektywnie naukowej odpowiedzi, chociaż zarazem podkreślić należy, że o sąd obiektywny w tym wypadku jest dość trudno. Do głosu dochodzą często czynniki emocjonalne.

Niezwykła sława, jaka otaczała Hauptmanna już za życia, powoduje szczególnie, aby pisarzowi poświęcić nieco uwagi. Właściwie już od wystawienia naturalistycznej sztuki „Przed wschodem słońca” (1889) rozpoczyna się jego triumfalny

poход. Niektóre postacie dzieł stają się legendarne, np.: Pippa, Hanusla, pracznia Wolffen, stary Hill ze z „Tkaczy”. Ten utwór jest przedmiotem szczególnie burzliwych kontrowersji. Krytycy usiłują bowiem udowodnić, że Hauptmann „nie napisał dramatu rewolucyjnego”, że „nie napisał tendencyjnego dramatu socjalistycznego”, że „chodziło mu tylko o czyste ludzkie współzucucie dla głodujących biedaków”. P. Fechter uważa nawet, że buntujący się tkacze to tylko „duże dzieci”, że ich działalność jest bezcelowa, bo traci swój sens wobec postawy Hilsego, a tragedia polega na tym, że przypadkowa kula zabija tego „najbardziej pruskiego tkacza”. Fechter nie widzi rewolucyjności, co słusznie dostrzegła Z. Zygiński; nie ukazuje tego, co np. W. Szwerczyk, według którego śmierć Hilsego „jest wymownym dramatycznym akcentem, podkreślającym nieuniknione prawo buntu”.

Hauptmann należał do tych pisarzy, którzy nie zatrzymują się w drodze rozwoju. Idzie do końca swych dni naprzód, tworzy coraz to nowe, często fascynujące utwory. Początki twórczości przypadają

jeszcze na końcową fazę romantyzmu i klasycyzmu, potem staje się jednym z czołowych przedstawicieli naturalizmu w literaturze niemieckiej, aby w niespełna dziesięć lat później zapoczątkować nowy kierunek: neoromantyzm i symbolizm, a z czasem dojść do ekspresjonizmu, któremu hołduje nawet dzisiaj niemił pisarza. W ostatnich zaś fazach twórczości daje nowe dzieła o ciekawych walorach poetyckich, swoiste i oryginalne, które trudno ująć w wygodną formułkę. Sława pisarza nieustannie rośnie, zwłaszcza w okresie, kiedy miał pomoc w odzyskaniu sympatii świata dla podbitych Niemiec. Dopatrywano się w nim drugiego Goethego, do którego był rzeczywicie trochę podobny zewnętrznie. Ta rola odpowiadała Hauptmannowi i chętnie się z nią obnosił. Ze znanstwem deklamował się swoim listem księżym do brohytem. Nie stronił od trunków, wino towarzyszyło mu przez cały dzień, był centralną postacią niezliczonych bankietów w najbardziej luksusowych hotelach wielu krajów, bożyszczem aktorów i aktorek, przyjmował doktoraty h.c., nagrodę Nobla (1912), przynależną zaś niebagatelnie sumę potrafił wydać przez jeden sezon na Riwerze.

Tuż przed objęciem władzy przez Hitlera obchodził Hauptmann 70 rocznicę urodzin. Uroczystości nie miały końca. Świat wkrótce dostrzegł prawdziwe oblicze brunatnych faszystów, pisarz jednak nadal tkwił w swoim samozadowoleniu, w euforii sławy i szczęścia. Dla nowych władców nie był więc groźny, oczekiwano od niego tylko kapitulacji, która się też wyraziła w jego

ślępnym oświadczeniu: „Powiadam tak”. Nie stać go było, aby pójść na emigrację. Rozmówienie w śląskiej rezydencji, przyzwyczajenie do luksusowego życia stanowiły przeszkodę w podjęciu większej bojaźni, która zresztą nigdy go nie cechowała. Dawny zwolennicy przebywający na emigracji nie wybaczyli mu tej postawy. Hauptmann znowił ataki z „bolesną rezygnacją” i z czasem zaczął się izolować od świata zamykając się szczelnie w swoim zamku w Jagniątkowie, w „rajskim salonie” pośród drzew szuki w Włoch, nad którymi czuwał monumentalne popiersie Goethego. Ściany pokrywały freski przedstawiające postacie z dzieł pisarza. W oszklonych gablotach spoczywały drogiecenne wydania jego utworów, ordery, dyplomy, manuskrypty, zbiory wszystkich dzieł wraz z rozprawami i wszelkimi artykułami, jakie się ukazywały a pisarzem i jego twórczością począwszy od roku 1889.

W tym odosobnieniu przetrwał aż do piętego roku wojny. Zanepokojony bezpośrednim zetknięciem się z okropnościami wojny, postanowił schronić się na przedmieściu Drezna, gdzie przeżył zagładę miasta dokonaną przez lotniczo amerykańskie. Do głębi wstrząśnięty apokaliptycznym wydarzeniem napisał tren żalobny na zburzenie Drezna, który miał być apelem do sumienia świata i wrócił do Jagniątkowa.

Niebawem wkroczyły na Śląsk wojska radzieckie i polskie. Hauptmann wyłożył w hallu swej rezydencji rosyjskie i polskie przekłady własnych dzieł. Wkrótce zjawili się radzieccy oficerowie, którzy jeszcze ze szkoły znali utwory Haupt-

mann. Otoczono pisarza opieką. W rozmowach komentował rozgrywane się historyczne wydarzenia na śląskich terenach Goethego z Eckermannem, a wobec „pewnego polskiego dziennikarza nazwał Hitlera najkrwawszym frazesowicie światła”.

Hauptmann nie był człowiekiem o silnym charakterze, jednak podkreślić należy, jak wykazuje Z. Zygiński, że wytyczną jego poglądów moralnych i społecznych było głębokie współzucucie dla ludzi w ogóle, a dla biednych, pokrzywdzonych i upośledzonych w szczególności. Pisarz ten nie był myślicielem, nie był też naturą głęboką. Miał skłonność do irracjonalizmu, która z wiekiem rosła. Za młodu działał na niego pletyzm, w późniejszych latach tradycje XVII-wiecznych mistyków śląskich, jakies reminiscencje wierzeń hinduskich i gnostycznych. Jako poeta próbował tworzyć nowe mity, względnie ożywiać dawne. Nie zawsze mu się to udawało. Jednocześnie widział jednak rzeczywistość, zwłaszcza tę szarą, codzienną. Nie idealizował swych postaci, były one żywe, plastyczne i ostro zarysowane. Utwory jego owiane są często atmosferą zmysłowości i erotyzmu, traktowanego jednak z artystycznym umiarem („Dzwon zatopiony”, „Róża Bernd”, „Atlantida”, „Kacierz z Soany”, „Wyspa Wielkiej Matki”).

Monografia Z. Zygińskiego wykazuje głęboką znajomość przedmiotu i krytycyzm badawczy. Autor dąży konsekwentnie do uwytknienia linii rozwoju literackiego pisarza, wiąże ją z całokształtem życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Wy-

nikiem takiego ujęcia jest przejrzyście układu i dokładnie wyważone proporcje w przedstawieniu poszczególnych partii materiału. Z reguły treściowa zawartość dzieła przedstawiona z dużą plastycznością poprzedza charakterystykę danego prądu literackiego, przy czym autor ze swobodą właściwą znakomitem uczoneму wykracza poza granice niemieckiego obszaru językowego, aby przez porównanie z innymi wielkimi dziełami ukazać we właściwym świetle stopień oryginalności względnie zależności od obcych wzorów.

Wyczerpujący obraz literackiej twórczości Hauptmanna przedstawił autor monografii w oparciu o najnowsze metody naukowe. Pracę cechuje trafność i wnikliwość sądu, a w kwestiach spornych podsuwa przekonujące sugestie i wnioski. Ogromną zaletą monografii jest przyśiępność i jasność wykładu. Autor umie mówić w sposób prosty o skomplikowanych sprawach.

Zdzisław Zygiński nie lubi bawić się w prorocтва, ale mimo wielkości Hauptmanna nie sądzi, aby zanosiło się na renesans autora dzieła „A Pippa tańczy”, i to nie tylko u nas.

Monografia Z. Zygińskiego nie jest książką, którą można odłożyć na półkę po przeczytaniu. Książka ta powinna być stale pod ręką, sprawne korzystanie z niej utrudnia jednak brak indeksu rzeczowego i osobowego.

Zdzisław Zygiński, Gerhart Hauptmann — człowiek i twórca, ŁTN Łódź 1968.

W CO SIĘ BAWIC W KLUBACH STU- DENTCKICH?

Najpierw uroczyste otwarcie z udziałem zaproszonych gości, tradycyjne przemówienia, kwiaty, wiaty, wyrażania nadziei etc.... Potem następuje rzeczywistość — praca, układanie i realizowanie planów, powstają trudności lokalowe, finansowe, wręcz: frekwencyjne. I mnożą się studenckie kluby a wraz z nimi mnożą się przeróżne problemy.

W Łodzi, podobnie jak w innych miastach akademickich, ich liczba jest dość pokorna, a więc: środowiskowy — klub „77” i uczelniane — „Kontynenty”, „Balbina”, „Perelka”, „Jacek”, „Agatka” (UL); „Futurysta”, „Kleks” (PE); oraz „Bakcyli” i „Synapsa” (AM).

Kluby te odgrywają lub raczej powinny odgrywać w życiu studentów znaczną rolę.

A jak to wygląda w praktyce? Kierownicy klubów zapewniają, że w ich klubach wszystko działa bez zarzutu i udowadniają swe twierdzenia przedstawianiem planów, kronik i sprawozdań. Jeśli już na coś narzekają, to na zbyt małe pomieszczenia i jeszcze mniejsze finanse.

Większość studentów twierdzi, że w klubach nic się nie dzieje, że króluje tam tylko nuda, że sale są albo zamknięte albo odbywają się w nich próby różnych pseudo-teatrzyków i pseudo-zespołów muzycznych. Co najwyżej idą oni na zabawy, bo to zupełnie co innego niż nuda, do niczego nie prowadzące dyskusje.

Na wszelkie ogłoszenia informujące o imprezach klubowych spoglądają z rezygnacją i niechęcią. Niełatwo im się znaleźć drogę do tych pograżonych w biogimnastykę „tumiwistów”, ale przecież większość studentów marzy o tym, by zmienić i ulepszyć świat. Dlaczego więc nie mieliby zacząć od własnego podwórka, samemu coś zorganizować, czy chociaż podsunąć tematy imprez, które chcą u siebie widzieć i nazwiska ludzi, z którymi pragną podyskutować. Przecież w każdym DS istnieje Rada Mieszkańców. Wydaje mi się, że szczególnie oni powinni dołożyć wszelkich starań, aby coś się tam zaczęło dziać ku zadowoleniu większości. Studenci, narzekając na swe kluby nie zastana-

ją przecież poczytać prasę, posłuchać radia, napić się kawy, czy nawet podyskutować, można u siebie w pokojach. Co najwyżej idą oni na zabawy, bo to zupełnie co innego niż nuda, do niczego nie prowadzące dyskusje.

W myśl powszechnie znanego porzekadła, głoszącego że każda prawda tkwi w środku, również i ten problem należy rozważyć w aspekcie: kluby i ich bywalcy.

Dotychczasowa działalność klubowa była właściwie nijaka i faktycznie ograniczona do organizowania wieczorków tanecznych. Aby zaś imprezy były bardziej dochodowe, sprzedawano bilety wstępu każdemu kto chciał się zabawić. W rezultacie sale były wypełnione po brzegi a miłośnicy tańca mieli raczej utrudnione możliwości poruszania. Nad tym ściślejszym, parującym, szumiącym tłumem amatorów tanecznych szaleństwa, unosi-

ły się łagodne opary dymu i alkoholu. Tego ostatniego zawsze można było w jakiejś pobliskiej „mieście” znaleźć pod dostatkiem, czasami nawet na kredyt. Po skończonej zabawie odbywały się ku uciesze ogółu „poiedvki” a także rozbrzmiewały radośnie, narodowe przeboje spędzające mieszkańcom najbliższych okolic sen z oczu.

W dzień powszedni natomiast kluby zamykano na solidne kiłdki. Wydarzeniem sezonu stawało się spotkanie z jakimś aktorem czy literatem, ale wszelkich uczonych dysput polityczno-społeczno-filozoficznych unikano w sposób nad wyraz konsekwentny.

Aż tu naraż, ostatnimi czasy coś się ruszyło. Działacze klubowi z Radą Uczelnianą ZSP na czele doszli widocznie do wniosku, iż te zamknięte „sezamy” kryją w sobie niebagatelne skarby i że właśnie kluby osiedlowe, mieszczące się w samych akademikach mogłyby odegrać w kształtowaniu postaw i świadomości mieszkańców osiedli studenckich dużą rolę.

Zaczęło się więc programowanie, planowanie, ustalanie profilności klubów. Powstała nawet Środowiskowa Rada Klubów Studenckich organizująca raz w miesiącu spotkania kierowników mające na celu wymianę doświadczeń, poglądów i zamierzeń.

Trzeba przyznać, że dzięki tym wszystkim zabiegom sporo się w klubach zmieniło.

Na szczególną uwagę zasługuje klub „PERELKA”, mieszczący się na osiedlu Lumumby i liczący sobie już 12 lat. Odbywają się tu liczne spotkania z literatami, reżyserami, aktorami, piosenkarzami i zespołami muzycznymi. Klub ten nawiązał kontakty z Ośrodkiem Kultury Radzieckiej, z Łódzkim Domem Kultury, wręcz z ZMS-owskim kołem PSS Łódź-Śródmieście. Urządzane są tam ciągle nowe wystawy, ostatnio np. można było obejrzeć fotogramy „Berlin Zachodni”, „Piękno Ziemi Radzieckiej” i wystawę prac Habermanna. Przerwy w czasie zabaw wypełnione są przeróżnymi quizami, konkursami, występami studenckich kabaretów itp.

Poza tym jest to jedyny spośród klubów studenckich, który nawiązał kontakt i wciągnął do aktywnej współpracy młodzież spoza środowiska studenckiego.

Rzecz można, że klub ten całkowicie na swą nazwę zasłużył.

Niedawno otwarty po remoncie „FUTURYSTA” jest rówieśnikiem

„PERELKI” zarówno ze względu na wiek jak i na swój działalność. Ma on nieco łatwiejszą sytuację, gdyż oddalony jest od centrum klubowego. Mieści się bowiem w jednym z akademików Politechniki Łódzkiej przy Al. Politechniki i nie posiada w pobliżu konkurenta pozabawiającego go części klubowiczów. Jako temat wiodący „FUTURYSTA” obrął sobie „Patriotyzm i ludowa obronność”. Oprócz tego szczególną uwagę chce zwrócić na muzykę, plastykę, film, teatr i literaturę. Planuje się tu także organizowanie wystaw prac studentów PWSF. Wieczory wolne od imprez przeznaczone są na turnaje brydżowe, występy kabaretów, zespołów muzycznych i zebrania Koła Miłośników Poezji. W bieżącym roku akademickim przewidziane są m. in. dyskusje i prelekcje nt. V Zjazdu partii, polityki narodowej i wewnętrznej PRL, światowych systemów gospodarczych, osiadczeń PRL w 25-lecie, a także spotkania z ludźmi filmu, teatru itp.

Do ciekawszych, lepiej działających klubów zaliczyć można również „BALBINĘ”. Jest to uczelniany klub UL. Szczególną uwagę zwraca się tam na literaturę (m. in. wieczory poezji Norwida, Gałczyńskiego, poezji lirycznej, spotkania z pisarzami), muzykę i sztukę.

Przeciwieństwo ww. klubów stanowi „KONTYNENTY”. Ostatecznie szły: „Kontynenty Centrum Kulturalno-Oświatowe Studentów UL” do czegoś zobowiązuje. Niestety. Dwa razy w tygodniu odbywają się tam próby teatru „STUŁ”, a w dni pozostałe owa klubokawiarnia jest zazwyczaj zamknięta. Czasami urządza się w owym centrum prywatne uroczystości, obchodzą urodziny, imieniny. Niekiedy jakaś mała grupka, raczej nie studentów, ogląda telewizję, pije ukradkiem wino lub gra w karty. Ktoś spoza tego środowiska jest tu raczej niechętnie widziany.

Do ciekawszych imprez, odbywających się tutaj w ubiegłym roku studenckim, zaliczyć można jedynie cykl seminarijny „Ludzie morza”. Wydaje się jednak, że jak na roczną działalność to trochę za mało. Jeszcze jedno — o ile kierownikami we wszystkich innych klubach są studenci pełniący swą funkcję społecznie, o tyle w omawianym klubie jest to funkcja płatna — dlaczego?

Pozostałe kluby studenckie działają różnie. W większych odbywają się zazwyczaj wieczorki taneczne i czasami jakieś inne imprezy, w mniejszych nie dzieje się nic (podobno ze względu na trudności lokalowe, choć argument ten wydaje się mało przekonujący).

Tyle o samych klubach. A jaki jest stosunek studentów do tych klubów?

Wydaje się, że jeśli cały dzień człowiek biega z jednym wtyłdów i ćwiczeń na drugie, to wieczorem nie bardzo ma ochotę na uczone dysputy polityczne, społeczne i kulturalne, chyba że prelegentami na tych spotkaniach są ludzie z tzw. nazwiskiem. I nawet wtedy kierownicy drżą o frekwencję. Poza tym studenci niechętnie jakos do klubów przychodzą, może dlatego, że nigdy nie wiadomo kiedy są one otwarte, kiedy zamknię-



Fot. A. Wach

te. A przecież poczytać prasę, posłuchać radia, napić się kawy, czy nawet podyskutować, można u siebie w pokojach. Co najwyżej idą oni na zabawy, bo to zupełnie co innego niż nuda, do niczego nie prowadzące dyskusje.

Na wszelkie ogłoszenia informujące o imprezach klubowych spoglądają z rezygnacją i niechęcią.

Niewątpliwie, ciężko jest znaleźć drogę do tych pograżonych w biogimnastykę „tumiwistów”, ale przecież większość studentów marzy o tym, by zmienić i ulepszyć świat. Dlaczego więc nie mieliby zacząć od własnego podwórka, samemu coś zorganizować, czy chociaż podsunąć tematy imprez, które chcą u siebie widzieć i nazwiska ludzi, z którymi pragną podyskutować. Przecież w każdym DS istnieje Rada Mieszkańców. Wydaje mi się, że szczególnie oni powinni dołożyć wszelkich starań, aby coś się tam zaczęło dziać ku zadowoleniu większości. Studenci, narzekając na swe kluby nie zastana-

ją przecież poczytać prasę, posłuchać radia, napić się kawy, czy nawet podyskutować, można u siebie w pokojach. Co najwyżej idą oni na zabawy, bo to zupełnie co innego niż nuda, do niczego nie prowadzące dyskusje.

wiają się nad tym, że istotną przyczyną tych niepowodzeń tkwi w nich samych. Zamiast narzekać, powinni czuć się ich współgospodarzami.

Niewątpliwie ważną rzeczą jest także nawiązywanie kontaktów i zainteresowanie sprawami klubów ludzi spoza środowiska studenckiego. Jeśli np. chcą oni chodzić na zabawy, niech uczestniczą także w innych imprezach. Kluby studenckie powinny być nie tylko miejscem spotkań towarzyskich lecz również winny uczyć i wychowywać.

Pominęłam tu milczeniem wiodący, środowiskowy Klub „77”, ale to dlatego, iż na jego temat wylano już przysłowiowe morze atramentu i leż, podczas gdy nie mniej ważne kluby uczelniane traktowane są raczej po macoszu.

W swym artykule poruszyłam jedynie niektóre sprawy dotyczące omawianego tematu. Proponuję więc, by artykuł ten potraktowany został jako jeden z głosów w dyskusji nad zadaniami i działalnością klubów studenckich.

ANDRZEJ F. GRABSKI

CO WIEMY o Norbercie Barlickim

Czy nasz mały historyczny świat tekstroni od biografii? Która to z wybitniejszych postaci naszych dziejów, zwłaszcza XIX i XX wieku, doczekała się poważniejszego opracowania biograficznego? Powiedzieć: „przesada, sam czytałem książki i o księciu Józefie, i o Kościuszcze, i o księciu Adamie, o margrabim...” Kiedy jednak to wszystko napisano? Dlaczego nasze dwudziestopięcioletnie jest tak ubogie w biografistykę historyczną? Gdzie są dzieła o Daszyńskim, Limanowskim, Piłsudskim czy Dmowskim, o czołowych działaczach ruchu komunistycznego, generale Świerczewskim?

To, że biografistyka historyczna znalazła się u nas jeżeli nie w pogardzie, to w każdym razie została zepchnięta na boczny tor historiografii nie jest jednak sprawą przypadku. Kiedy w latach przedbudowy nauki historycznej na nowych podstawach metodologicznych zwrócono swe zainteresowania ku procesom i zjawiskom masowym, zwłaszcza społecznym i gospodarczym, wysunięto jednocześnie pod adresem wielu dawnych opracowań słuszny zarzut personalistycznego widzenia dziejów. Ale dzieje czasem płatają figle. Tak się bowiem złożyło, że w okresie natężenia kultury jednostki programowo odszadzano od czci i wiary prawdziwe i mniemane nawet objawy owego „personalizmu” w historii — jak się wtedy mawiało. Historiografia dokonywała przedziwnych lamańców, aby „odpostaciwić” dzieje, biografistyka przestała faktycznie istnieć jako rodzaj pisarstwa naukowego. Kwitła jednak w innej postaci, podawana jako „naukowa”, choć z nauką miała niewiele wspólnego. Przypominamy sobie wszyscy owe „krótkie życiorysy”, podawane nam do wierzenia, pisane wedle starych wzorów żywotów świętych, tyle, że à rebours. Zamiast podejmować węzłowe, konfliktowe problemy naszych dziejów z nowych pozycji, zbyt często chowano głowę w piasek i... kolekcjonowano fakty, fanki i fankiety wprawdzie —

broń Boże — nie politycznie, ale za to gospodarczo. I to wszystko pod... sztandarem marksizmu.

Nie miało to trwać długo. W rezultacie przelomu październikowego nastąpiło wyprostowanie krętych ścieżek rozwoju historiografii polskiej. Rehabilitowano też biografistykę jako formę dziejopisarstwa. Podczas zorganizowanej w tej sprawie dyskusji jej uczestnicy wskazali na doniosłość uprawiania tej właśnie formy pracy historyka i na piętrzące się przed nim szczególne trudności. Podjęto szeroko zakrojone studia, których rezultaty pojawiają się coraz częściej w druku. Choć sytuacja obecna napawa optymizmem, nie wolno jednak zapominać, że wiele jest jeszcze do odrobienia.

Biografistyka historyczna jest szczególnie trudną formą pisarstwa historycznego. Jeszcze w 1946 roku, na posiedzeniu Polskiego Instytutu Socjologicznego w Łodzi, profesor Józef Chałasiński porównując ze sobą dwie popularne książeczki o Joachimie Lelewelu — jedną pióra wybitnego historyka literatury Ignacego Chrzanowskiego i drugą, napisaną przez Zannę Kormanową wykazał, że obydwaj autorzy, jakkolwiek różne są ich stanowiska ideologiczne, stosują do wspólnego socjologicznego typu biografii, typu, który jest naukową odmianą żywotów

świętych”. Teza to wcale nie paradoksalna, jakby można było sądzić. Często się bowiem zdarza, że biografista, świadomie czy nie, prezentuje czytelnikowi ten właśnie hagiograficzny obraz, w którym odpowiednia selekcja faktów i interpretacja służy prezentacji bohatera jako wielkiej postaci „świętego” tej czy innej politycznej orientacji. J. Chałasiński zarzucał obu wymienionym autorom, a można to powiedzieć o wielu innych, piszących już nie tylko o J. Lelewelu, że ujęli swego bohatera nie jako „człowieka epoki”, ale jako „człowieka wiecznego, ponadhistorycznego”. „Takie niehistoryczne ujęcie postaci (...) nie wynika z naukowych zadań, lecz z potrzeb historycznego duszpasterstwa”.

Uniknięcie owego „duszpasterskiego” elementu przy pisaniu biografii, zwłaszcza człowieka, który z tych czy innych względów jest autorowi bliski, nie jest sprawą łatwą. Wymaga ono nie tylko doskonałej znajomości opisywanej postaci, epoki w której ona działała, ale i znacznej dojrzałości historycznego sądu. O to zaś zwykle najtrudniej, szczególnie w biografii, kiedy nie sposób pominąć milczeniem skomplikowanej problematyki osobowości człowieka, psychologicznych uwarunkowań jego postaw i czynów. Trudności wzrastają w dwójnasób, gdy przyjdzie pisać biografię postaci, która żyła

w czasach stosunkowo niedawnych. Dlatego tak trudno o dojrzałe biografie z dziejów najnowszych...

Książka Jana Tomickiego „Norbert Barlicki 1880—1941. Działalność polityczna” (Warszawa 1968, PWN, stron 459) — zgodnie z zastrzeżeniem uczynionym przez autora na wstępie — nie ma być pełną biografią znanego działacza polskiego ruchu socjalistycznego. W zasadzie obejmuje jego działalność publiczną. Autorowi udało się jednak dokonać czegoś więcej, niż zapowiedział. Może nie jest to pełne i wszechstronne studium biograficzne o człowieku, którego cechowała bujna osobowość, działacza politycznym i społecznym, pedagogu, publicyście, nawet poecie, ale na pewno jest to coś więcej niż suche sprawozdanie, z jego publicznej działalności. Na kartach książki J. Tomickiego Barlicki jest człowiekiem, żywym, ze wszystkimi wahaniami i zrywami, nie jest figurą z brązu ani marmuru. Związany od 1902 roku z PPS, do której wstąpił pod koniec studiów uniwersyteckich w Warszawie, pojawia się jako redaktor tygodnika w Sosnowcu, w Łodzi (1905 r.), w Wilnie, po krótkim pobycie na emigracji znów w Warszawie, w Częstochowie, Siedlcach, Petersburgu, aby w 1910 roku objąć posadę nauczyciela literatury polskiej w znanym war-

ELŻBIETA
LUKASIEWICZ

HENRYK STRUMIŁŁO

—górskie uskoki

Henryk Strumiłło urodził się w roku 1934 w Wilnie. Studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi, w pracowni prof. Modzelewskiego. Udział w wystawach okręgowych od 1962 roku na terenie Łodzi, Poznania, Sopotu i Krakowa. Wystawa indywidualna w Piotrkowie Trybunalskim — 1963. Udział w pierwszej zbiorowej wystawie „Galerii 20” — 1964, której był współorganizatorem. Udział w Ogólnopolskiej Wystawie Młodego Malarstwa — Sopot 1965, w „Galerii 20” — 1965 r. Udział w wystawie zbiorowej z okazji Sympozjum Młodych Twórców Polskiej Centralnej w 1966 r. w Łodzi. Udział w Ogólnopolskiej Wystawie „Pejzaż” polski w malarstwie współczesnym — Bydgoszcz, 1967 r., Triennale Rysunku — Wrocław 1968 r., Ogólnopolska Wystawa Malarstwa Współczesnego — Szczecin 1968 r., Wystawa Indywidualna, Warszawa 1968 r.

Obmyślałam sobie precyzyjny plan rozmowy — punkty, podpunkty, problemy, zagadnienia. Bo to i twórczość artystyczna i bogate, mimo młodego wieku wystawienictwo, a przecież znaleźć się tu winno i miejsce na chwilę wspomnień i kilka tradycyjnych pytań — co sądzi pan o...? Czy pan uważa, że...?

Spodziewałam się spotkać jednego z tych młodych „głównych talentów” malarzy o artystowskim rozwichrzeniu, którego rozliczne deklaracje ułatwiłyby wprawdzie moje zadanie, lecz uniemożliwiłyby własne, prywatne rekonesanse „w poszukiwaniu Strumiłły”.

Napotkałam człowieka spokojnego, poważnego, jednego z tych, dla których malarstwo stanowi nie tylko za wód, lecz autentyczną i wielką życiową przygodę. I nie byłam zdziwiona, gdy miast autorytatywnych i patetycznych opinii, Strumiłło wolał wypowiadać się za pomocą swoich obrazów. I ta argumentacja wydała mi się słusniejsza. I bogatsza. Oto

szawskim gimnazjum Wojciecha Górskiego. Był humanistą, wrażliwym na wszystkie rodzaje sztuki, miłośnikiem twórczości Słowackiego, po trosze poetą (zachowały się jego „liryki, poematy, utwory sceniczne, w których przewija się jeden motyw — jakies mistyczne zgoła zmagania człowieka z czujących na jego wolność ciemiężycielami” — powiada J. Tomicki (s. 45), entuzjastą Beethovena i Wagnera, zbieraczem dzieł sztuki, którego pasja kolekcjonerska nie raz płała w przeróżne, czasem arcyklopotliwe tarapaty.

Po rozłamie w PPS (1906) opowiedział się po stronie lewicy, ale nie na długo — rychło poczył się od niej odsuwać, w miarę jak kierownictwo odkładało na bok hasło walki o niepodległość, to hasło, które było istotą jego zapamiętania i prognoz politycznych. Łudził się, że niepodległość rozwiąże niemal wszystkie konflikty — właśnie w tym czasie, kiedy zostawał podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w rządzie J. Moraczewskiego pisał, że wreszcie lud przejmie władzę w swoje ręce, robotniczo-chłopski rząd ugruntuje demokrację, torując tym drogę do socjalizmu. Nadzieje te zawiodły, nie tylko zresztą N. Barlickiego. Wierzył, jak wielu wówczas, w parlamentarną drogę do socjalizmu, z pasją przeciwstawiał się wysuwanej przez komunistów

Z cyklu: Sylwatyki łódzkich plastyków

„Mikrokosmos” błękitny i „Mikrokosmos” biały...

W początkowym okresie twórczości, pozostając jeszcze pod wzmożonym wpływem malarstwa Kunki, Strumiłło wydawał się być zafascynowany elementami struktur biologicznych, światem mikrobiologii, mikrokosmosem, którego elementy urastały u niego do rozmiarów wręcz monstrualnych.

Doskonale warsztat, wypracowując to, co stanowi najgłębsze niepowtarzalne „ja” twórcze, dotarł artysta do swego następnego zauroczenia — był nim Rembrandt, a raczej „rembrandtowska paleta”, w której rozgrywał on swoje kompozycje. Gama kolorystyczna tego okresu zamykała się u Strumiłły w brązach, czerniach, ciepłych czerwieniach, całym bogactwem żółci i złota. Ale kolory owe nie są rozbite, wibrujące, lecz ciężkie intensywnie, nieomal materialne. Ma ją swój ciężar, są nieomal dotykalne, a wrażenie to pogłębiają jeszcze kładzione na powierzchnię grube warstwy werniksów, lakierów, szkliwa żywicznego, które starzają głębiej we wnętrzu samych barw.

Artysta nie zrezygnowawszy z określenia form i przestrzeni światłocieniem nadal barwom to wewnętrzne światło, które czyni obrazy tajemniczymi i nieco teatralnymi.

Jest on entuzjastą gór, dwa, trzy razy w roku wyjeżdża z Łodzi, aby tam szukać tematów do swoich obrazów.

Przywozi z górskich ekskursji wiele akwarel, gwaśzy, dziesiątki szkiców, które są rodzajem wprawk, malowanych z dużą maestrią warsztatową. Często owe szkice stanowią punkt wyjścia do prac trudniejszych, bardziej wysublimowanych.

Choć w obrazach Strumiłły nie ma jednoznaczności i dosłowności, niewątpliwie jest on pejzażystą. Maluje złozy i nawisy skalne, uskoki, formy organiczne a na de wszystko dramatyczne formy powalonych wiatrem górskich drzew.

W serii obrazów uzyskuje autor niezwykle kunsztowne zestawienia barwne: intensywne czernie i brązy kontrastują z całą gamą szarości lub biele, przywołując atmosferę dramatyczności i dynamizmu.

Zadziwia ta kolorystyczna asceza, często obraz rozegranym jest w licznych odcieniach dwu tylko barw, dla Strumiłły to dość, aby wyrazić swą wizję w całym jej bogactwie.

Prace artysty zawierają dwa wykluczające zda się czynniki: emocjonalny i intelektualny. Pierwszy objawia się dramatycznością kształtów, niespokojnością form, ich agresywnością i wyrafinowaną prostotą kolorystyczną, drugi wnosi do jego kompozycji pewną dyscyplinę i porządek. Krytycy twierdzą, iż jest to wynik koneksji z architekturą (nim wstąpił do PWSSP, Strumiłło studiował architekturę), one to ponać korygują emocje, łagodzą temperament.

Ale ów spokój, że tak to określe, kulturalność jego malarskich wizji, jest przede wszystkim konsekwencją charakteru malarza, tej powagi, rzetelności i skupienia, z jakim traktuje on swoją sztukę. Artysta i człowiek prawdziwy.

Koncepcji dyktatury proletariatu. Mimo negatywnego stosunku do Rosji Radzieckiej w 1919—1920 roku zdawał sobie sprawę z grożącego krajowi niebezpieczeństwa w wypadku zwycięstwa w tym kraju sił kontrrewolucji. „Z tych do względów nie popierał dążeń do obalenia władzy radzieckiej. Jednocześnie uważał, że kontynuowana ofensywa wojsk polskich na terenie Republik Radzieckich jest awanturnictwem politycznym, że służy celom imperialistycznym klas posiadających w Polsce oraz burżuazji na Zachodzie” — pisał Tomicki (s. 133). Barlicki mówił wówczas: „Czas skończyć z tą wojną. Socjalizm polski żąda wycofania wysiłku polskiego z walk wyniszczających Polskę, z walk które obecnie tylko przez reakcję wyzyskane będą. Wysiłek polskiego ludu pracującego — dodawał — potrzebny jest tu w Polsce, tu przy odradzaniu ziem dawno od Polski odebranych — Górnego Śląska, Mazurów, Śląska Cieszyńskiego, przy budowaniu Rzeczypospolitej ludu pracującego, a nie przy rujnującej, ciągnącej się w nieskończoność, przybierającej coraz bardziej reakcyjny charakter wojnie” (s. 135).

Jeszcze w 1924 roku Barlicki głosił: „demokracja nie może pokładać żadnej nadziei w przewrotach. Wszelki przewrót musiałby doprowadzić do panowania bagne-

ria warsztatową. Często owe szkice stanowią punkt wyjścia do prac trudniejszych, bardziej wysublimowanych.

Choć w obrazach Strumiłły nie ma jednoznaczności i dosłowności, niewątpliwie jest on pejzażystą. Maluje złozy i nawisy skalne, uskoki, formy organiczne a na de wszystko dramatyczne formy powalonych wiatrem górskich drzew.

W serii obrazów uzyskuje autor niezwykle kunsztowne zestawienia barwne: intensywne czernie i brązy kontrastują z całą gamą szarości lub biele, przywołując atmosferę dramatyczności i dynamizmu.

Zadziwia ta kolorystyczna asceza, często obraz rozegranym jest w licznych odcieniach dwu tylko barw, dla Strumiłły to dość, aby wyrazić swą wizję w całym jej bogactwie.

Prace artysty zawierają dwa wykluczające zda się czynniki: emocjonalny i intelektualny. Pierwszy objawia się dramatycznością kształtów, niespokojnością form, ich agresywnością i wyrafinowaną prostotą kolorystyczną, drugi wnosi do jego kompozycji pewną dyscyplinę i porządek. Krytycy twierdzą, iż jest to wynik koneksji z architekturą (nim wstąpił do PWSSP, Strumiłło studiował architekturę), one to ponać korygują emocje, łagodzą temperament.

Ale ów spokój, że tak to określe, kulturalność jego malarskich wizji, jest przede wszystkim konsekwencją charakteru malarza, tej powagi, rzetelności i skupienia, z jakim traktuje on swoją sztukę. Artysta i człowiek prawdziwy.

Wypo czynek

Dalszy ciąg ze str. 3

sprawę, że stworzenie bazy noclegowo-wyżywieniowej dla 50 tysięcy ludzi nie jest rzeczą wcale łatwą. Jednakże przy dobrej woli i sprawnej organizacji wiele ośrodków zakładowych mogłoby przyjąć większą niż dotychczas liczbę uczestników wycieczki świąteczno-niedzielnej. Na przeszkodzie temu stoi niestety ów osobliwy patriotyzm branżowy, który przemienia ośrodki w getta.

AKCJA „TURKUS”

Pod tą dźwięczną nazwą nie kryje się żaden mineral. Po rozszyfrowaniu oznacza po prostu turystykę, kulturę, sport i określa charakter, kierunek oraz formy wypoczynku i rekreacji ludzi pracy w naszym kraju w roku 1969. To nie przypadek że akcja „Turkus” na pierwszym miejscu stawia turystykę. Turystyka obok tego, że jest jedną z najbardziej aktywnych form wypoczynku odgrywa poważną rolę w wychowaniu patriotycznym. Ażby miłować swój kraj, swój region, swoje miasto trzeba jej przede wszystkim dobrze znać. Turystyka jest żywą lekcją nie tylko geografii ale i historii naszego narodu, zarówno tej odległej jak i tej współczesnej związanej z heroiczną walką o niepodległość. Turystyka pozwala na konfrontację wyobrażeń z rzeczowymi dowodami. Jakże często obok zabytków wznoszą się nowoczesne zakłady przemysłowe (do których notabene trudno się wycieczce dostać). Bezpośrednie zetknięcie się z dorobkiem pokoleń w dziedzinie materialnej i kulturalnej sprzyja pogłębieniu, zwłaszcza wśród młodzieży szacunku dla pracy, dla bohaterstwa i rewolucyjnych tradycji naszego narodu, szacunku dla tego pokolenia, któremu przypadło w udziale brać udział w ostatniej wojnie, a po wyzwoleniu budować nową Polskę.

Jednym słowem turystyka obok funkcji zdrowotnej ma niezmiernie ważne znaczenie polityczno-wychowawcze. Na tym tle dużego znaczenia nabiera Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, niegdyś organizacja dość elitarna, dziś masowa, egalitarna. PTTK nie jest Towarzystwem apolitycznym. W rocznicę obchodów dwudziestopięcioletnia Polskiej Ludowej przed tym Towarzystwem stoją wyjątkowo duże zadania. Organizacja rajdów „Szlakami Polskiej Ludowej” i „Szlakami Chwały Ojczyzny” będzie wymagała od PTTK zdwojonego wysiłku. Ale od społeczników, działaczy, przewodników i przodowników tego Towarzystwa nie można tylko żądać, potrzebna będzie im konkretna pomoc szczególnie ze strony władz partyjnych i miejskich Łodzi. Wydaje się, iż musi nastąpić weryfikacja stosunku działaczy politycznych i gospodarczych do działalności społecznych PTTK. Miejscowi przewodnicy i przodownicy turystyki kwalifikowanej uskarżają się na niewłaściwe traktowanie ich przez administrację zakładów pracy. Dyrektorzy zakładów i instytucji niechętnie zwalniają przewodników

PTTK z pracy, gdy ci mają prowadzić wycieczki lub rajdy. W najlepszym wypadku uważają że działacze społeczni PTTK czynią to wyłącznie dla własnej przyjemności, więc wstrzymują im nierzadko wynagrodzenie za dni nieobecności. Rezultat zaś taki, że rozwój turystyki robotniczej jest dotychczas bardzo zapędzany, o czym pragnę skromnie przypomnieć i zasugerować.

Koła PTTK szczególnie przy włókienniczych zakładach pracy są najczęściej martwa, istnieją taktycznie tylko na papierze. Chlubny wyłatek stanowią jedynie zakłady im. Obronców Pokoju. Najlepiej pracują koła PTTK w łódzkich zakładach metalowych, chemicznych oraz koła zrzeszające pracowników służby zdrowia. Małą aktywność wykazują szkolne koła PTTK. Szkoły idą po najniższej linii oporu, organizując z reguły drogie wycieczki autokarowe, które niewiele mają wspólnego z turystyką kwalifikowaną. Wśród samych nauczycieli również notuje się bardzo niski procent osób zajmujących się i uprawiających turystykę. Środowiskowo największą aktywność PTTK rekrutuje się spośród inżynierów absolwentów PŁ i lekarzy, absolwentów WAM.

Problem sam w sobie stanowią przewodnicy, od których aktualna sytuacja wymaga dużego wyrobienia politycznego, odpowiedzialności za słowo, rzetelności, wiedzy i zaangażowania ideowego. Odnosi się to zarówno do przewodników krajowych jak i zagranicznych. Prawie milion Polaków wyjeżdża co roku za granicę. Niestety, przykre to, lecz nie zawsze nasi turyści zachowują się tam z należytą godnością. W dużej mierze winę za ten stan ponoszą również przewodnicy wycieczek, którzy nie potrafili w przypadkach skrajnie niegodnego zachowania reagować we właściwy sposób. Być może w tej chwili istnieje za dużo biur zajmujących się turystyką zagraniczną. Biura te nie zawsze posiadają odpowiednio dobraną kadrę przewodników i kierowników wycieczek. Wydaje się, że niektórym biuram podróży, tym zwłaszcza, które nie dysponują odpowiednim i odpowiedzialnym personelem powinno odebrać się prawo organizowania wycieczek zagranicznych. Sprawa ta w tej chwili dyskutowana jest na najwyższym szczeblu. Drugi postulat to umożliwić w większym niż dotychczas stopniu wyjazdy zagraniczne robotnikom. Wyjazdy takie mogłyby być pomyślane jako premia za dobrą pracę. Powinny je w pewnym stopniu dofinansowywać zakłady pracy. Dotychczasowy udział robotników w wycieczkach zagranicznych był bardzo niski. Podobnie zresztą jak udział w korzystaniu z ośrodków wypoczynkowych. Bada nie przeprowadzone w zakładowych ośrodkach wypoczynkowych na Śląsku wykazały następującą prawidłowość: im ośrodek bardziej luksusowy, tym mniej przebywało tam robotników.

Turystyka z samej swej natury jest demokratyczna i dlatego w większym stopniu niż dotychczas powinna stać się udziałem młodzieży robotniczej, szkolnej i studenckiej. Zaś PTTK biorąc coraz większą odpowiedzialność za sprawę turystyki, powinno mieć coraz szerszą pomoc tym bardziej, że pomocy tej potrzebuje. Wstyd powiedzieć, ale Miejski Oddział PTTK w Łodzi, ma chyba najgorsze warunki lokalowe w Polsce. Łódź jest też jednym z tych nielicznych większych miast w kraju, które nie posiadają Domu Turysty. Istnieje wprawdzie hotel turystyczny, lecz mieści się on w nędznym baraku daleko na peryferiach miasta. W momencie gdy wzrasta rola turystyki i podnosi się ranga PTTK, stan ten powinien ulec poprawie. Przemawia za tym interes ludzi pracy w naszym mieście.

KAROL BADZIAK

spektakle tygodnia

TEATRY		spektakle	widzów	proc.
WIELKI	— „Zemsta niełopierzka”	1	1260	100
	— „Cosi fan tutte”	1	1260	100
	— „Tosca”	1	1260	100
	— „Jeziorko łabędzie”	2	2520	100
	— „Romans gdański”	1	1260	100
NOWY	— „Czerwone pantofelki”	3	2100	100
	— „Słuby panienskie”	1	400	55
	— „Pierścień wielkiej damy”	3	1200	55
NOWY Mała Sala	— „Księżyc świeci nieszczęśliwym”	4	400	50
	— „Kawior i kaszanka”	3	1800	90
POWSZECHNY	— „Turniej z czarodziejem”	2	1320	100
	— „Każdy kocha Opale”	5	2750	87
JARACZA w t. „Rozmaitości”	— „Każdy kocha Opale”	5	2750	87
	— „Parady”	5	2110	100
7.15	— „Parady”	5	2110	100
	— „Dziekuje ci, Ewo”	7	6457	87
OPERETKA	— „Dziekuje ci, Ewo”	7	6457	87
	— „Czerwony kapturek”	1		
FILHARMONIA	— 2 koncerty symf.		1300 słuch.	95

tu, do cezaryzmu, i do awanturnictwa politycznego”. Z rezerwą odniósł się do zamachu majowego, jako pierwszy, z przywódców PPS wszedł na drogę opozycji wobec rządów pomajowych. Zawiodło to go — podobnie jak innych przywódców polskiej demokracji — do Brześcia. Ale pobyt w twierdzy i metody policyjnych oprawców nie załamały Barlickiego. Przeciwnie. Z coraz większą siłą demaskował obóz rządzący, coraz mniej nadziei wiązał z tak drogim mu dotąd systemem parlamentarnej walki politycznej. Kapitalnym świadectwem tych przemian, jest jego artykuł, ogłoszony w noworocznym numerze „Robotnika” z 1933 roku pod tytułem „Mea culpa”, w którym doszedł do wniosku, że z winy jego i kierownictwa PPS losy polskiego ruchu socjalistycznego potoczyły się w niewłaściwym kierunku, zaprzepaszczone zostały porwy rewolucyjny sprzed czternastu lat. Najpoważniejszy błąd polegał na tym, że „narastające siły rewolucji likwidowano co prędzej w imię teoretycznie pomyślnych programów”. Ten akt rozsądki i odwagi cywilnej odbił się szerokim

W 1938 roku nie wybrał szosy, zaleszczyckiej... 14 września ogłosił w „Robotniku” artykuł-wzywaniem, w którym wyrażał przekonanie o nieuchronności klęski faszyzmu i wzywał do walki z najędźźcą. „W swoim apelu podkreślał również z naciskiem — powiada J. Tomicki — że robotnik, idący do walki z imperializmem niemieckim, nie złoży broni natychmiast po unicestwieniu hitlerizmu. Albowiem „Świat musi raz na zawsze uwolnić się od groźnego widma gwałtu i zbrodni i zbudować nowy porządek rzeczy, oparty na nowych podstawach, które świat twórczy robotniczy od dawna w swym łonie piastuje” (s. 410).

Nie doczekał realizacji tych marzeń. Aresztowany w lipcu 1940 roku przez gestapo, osadzony został najpierw na Pawiaku, po czym wraz z transportem więźniów prawdopodobnie jesienią tegoż roku został wysłany do Oświęcimia. W obozie — jak wspomina Henryk Świętkowski — „promieniał niezwykłą siłą ducha, pogodą usposobienia, optymizmem i wiarą w przyszłość”. Zmarł 27 września 1941 roku.

Po konkursie

Myślę, że wbrew stawianym tu i ówdzie zarzutom o bezideowość współczesnej sztuki, główną i wiodącą tendencją tej sztuki jest właśnie jej silne zaangażowanie we współczesność. Sztuka jako artystyczny wykwit odczuwania rzeczywistości, poza tę rzeczywistość wyjść w zasadzie nie może. To, co determinuje nasze potrzeby i tęsknoty, niemal każdy nasz krok, znajduje szczególne odzwierciedlenie w tych pokładach wrażliwości społecznej, której rzecznikiem jest twórca. Każdy niepokój i każda radość współczesnego świata znaleźć można w dziele pisarza i kompozytora, znaleźć można i na wystawie plastycznej. Mimo wielu przykładów wtórności i dekadencji, główny prąd rozwojowy sztuki jest zawsze reakcją wobec takich zjawisk zewnętrznych jak aktualna sytuacja gospodarcza i polityczna, niepokoje społeczne, kataklizmy i prosperity dziejowe.

Jeszcze kilka lat temu ogólnie wrażliwość wyrażano się z wystawy bieżącej produkcji plastycznej, można było określić mianem spokoju a nawet pewnej stagnacji i monotonii. Kolorystyka wystawy sprzed lat ośmiu czy dziesięciu był cichy i przygaszony, rozkładając się po peryferiach ciemnej zieleni, brązów, szarości, rozbielonego błękitu. Na obrazach dominowały formy delikatne, często amorficzne, kształty rzeźbiarskie były obłe, kontrasty zlagodzone. Dramaturgia dzieła plastycznego ukryta i rozłożona w półtonach była nieagresywna.

Tak też w przybliżeniu wyczuwano i wystawy okręgowe w Łodzi z tego okresu. Potem stan ten zaczął się niespodziewanie zmieniać, formy stawały się pełniejsze, bardziej dramatyczne, kolor zdecydowany.

Tegoroczna wystawa pokonkursowa Okręgu ZPAP w Łodzi dowodnie wskazuje na fakt, jak ten wielki stosunkowo dystans czasu dzielący nas od początków lat sześćdziesiątych, stał się w plastyce okresem niemal rewolucyjnym. Uległ przede wszystkim całkiem witej przemianie ogólny kolorystyczny. Wielu twórców sięgnęło znów po wynalazek ku bistów — collage; często w nowoczesnej postaci montażu przestrzennego. Dla wielu autorów płaszczyzna nie może już spełnić funkcji jednoczącej zamysł twórczy z jego realizacją. Stąd też owe reliefy, głębokie uskoki płaszczyzny plastycznej, zaczynają dominować nad dwuwymiarową formą

rozwiązywania sytuacji plastycznych. Fakturalne różnicowanie tworzywa przestaje już wystarczać, kształtują się formy pośrednie między malarstwem a rzeźbą.

Nowa figuracja w plastyce manifestuje również frontalny odwrót od pozycji czy staję abstrakcji i sztuki antyskojarzeniowej, do formuły literackiej, wieloznacznej, krzyżującej. Najbardziej wyrażoną cechą tegorocznej wystawy jest tendencja do wydobywania anegdoty w warstwie znaczeniowej dzieła. Panująca przez dłuższy czas abstrakcja jako główna linia rozwojowa schodzi obecnie na margines aktualnej działalności plastycznej.

Przed wszystkim jednak nową figuracją w plastyce

charakteryzuje szersze niż zazwyczaj podjęcie treści sztuki zaangażowanej, walczącej, protestującej. Często zaangażowanie dzieła plastycznego przybiera świadome formę prowokującą, aby poprzez zadziwienie, zaskoczenie czy nawet nagłą odrazę, zmusić odbiorcę do aktywnego i myślowego przyswojenia wypowiedzi twórcy.

Można by zadać pytanie, jaka część pokazanej plastyki, zawdzięcza swój dzisiejszy kształt aktualnemu rozwojowi sztuki, a ilu twórców inspirowała po prostu moda. Są to jednak zjawiska towarzyszące zawsze powstawaniu nowych wartości w sztuce. Rozróżnienie tych wpływów jest zbyt trudne, aby możliwa była ich bieżąca ocena. Trudne, bo nawet dla samego twórcy odzielenie własnych przemysłań od zapożyczeń pochodzących z zewnątrz, jest zbiegiem jałowym i nie dającym przeważnie konkretnych efektów. Oceny takiej dokonuje najlepiej upływ czasu i tej obróbce poddajmy również wystawione prace łódzkich artystów.

Bliższą analizę prezentowanych na wystawie dzieł, uniemożliwia techniczna koncepcja ekspozycji, która spośród kilkudziesięciu wystawiających autorów, ujawnia jedynie nazwiska kilkunastu laureatów. Reszta — i to reszta wcale niemałej wagi zarówno pod względem artystycznym jak i ilościowym — stanowić ma jedynie anonimowe tło pod prezentację nagrodzonych prac. I choć ocena komisji nagradzającej i wyróżniającej prace kilkunastu autorów, w zasadzie nie budzi wątpliwości, to jednak tak pomyślna wystawa nie daje spodziewanych satysfakcji ani widzowi, którego interesuje autorstwo wszystkich prac, ani autorom, których nazwisk nie ujawniono, ani — jak sądzę — również fetywowanym nagrodami laureatom.

Wystawa pokonkursowa Okręgu ZPAP. Malarstwo, rzeźba, rysunek — grudzień 1968 — styczeń 1969. Łódź — Ośrodek Propagandy Sztuki.



Krystyna Liberska — „Akt” (olej).

Fot. A. Idziński

OBIEKTYW

Dwa razy PRUS

W tytule felietonu nie ma pomyłki. Nie chciałem napisać „pan Prus”, choć tak się przyjęło ostatnio mówić w sferach intelektualnej socjety. Niby że to tak jakiś bardziej poufale i intymnie. Cóż zrobić, kiedy ja nie lubię pretensjonalności... i intymnie. Dwie pozycje programowe nadane w ciągu niespełna tygodnia, choć reprezentujące odmienny kaliber, korespondowały ze sobą dzięki związkowi z Bolesławem Prusem i jego „Lalką”. „Tele-Echo” Ireny Dziedzic, tym razem monoteatralne, pod hasłem „Pan Rzeki wspomina”, i „Noworoczne Telepatrzydło Pana Prusa” Adama Hanuszkiewicza.

Jeszcze jeden moment, pozateatralny, decydował, że oba te programy miały ze sobą coś wspólnego. Oba bowiem zaliczyć można do poszukujących nowych form widowiska telewizyjnego. Każde czytało to w swoim gatunku. „Tele-Echo” niemal wyłącznie rozrywkowo, a „Telepatrzydło” głębiej, z refleksją i zdecydowanym skłonem w kierunku teatru.

Zaczynamy od programu Ireny Dziedzic. Był kontynuacją innej podobnej próby, którą telewizorowi chyba jeszcze pamiętają, a która nazywała się „w Kellinowym dworcu” i dotyczyła „Pana Włodkowskiego”. I tutaj autorka kazala odczyt bohaterom popularnej powieści w osobach aktorów grających te same role w filmie. Stylowe kostiumy (nie wyłączając prowadzącej program), umebowanie i rekwizyty tworzyły nastroj niemal autentyczny. Niemal autentyczny dlatego, że scenariusz tak był pomyślany, by raz po raz wytrącać widza z iluzji. Aktorzy, ze swobodą przeczucali się od odwarzonej postaci do własnej osobowości i z powrotem. Tadeusz Filjewski zamieniał się w Rzekiego, by po chwile znów być Filjewskim. To wielokrotne przekraczanie granicy między światem rzeczywistym i fikcyjnym, kreowanym, nadawało widowisku szczególnego smaku.

W dodatku dawało ten efekt, że aktorzy raz po raz te przedstawiali postaci, to ją komentowali, ujawniając swoje myśli i uczucia. Była to jakby operacja oddzielenia gry od podtekstu. Uwaga aktorów o postaciach „Lalki” były interesujące, czasem kontrowersyjne. Na przykład Beata Tyżkiewicz próbowała przeproświć jakąś niekonsekwentną obronę Izabelli Łękiej. Co gorzej stwierdziła, że gdyby nie wierzyła w pozytywne cechy panny Izabelli, nie podjęłaby się tej roli. Takie zdanie w ustach aktorki brzmiało niebezpiecznie. Czyżby widziela siebie tylko w rolach „pozytywych”!

W sumie powstał jednak program interesujący i na swój sposób pouczający.

Adam Hanuszkiewicz od dawna nie miał się w tradycyjnej (można już tak powiedzieć) formule teatru telewizyjnego. W związku z tym szuka takiego kształtu, który miałby jak najmniej cech wspólnych ze zwykłym teatrem, żeby tworzył nową, specyficzną telewizyjną jakość.

Udaje mu się to w różnym stopniu, ale woli dosłuchać stałe nowego rumaku, ryzykując czasem upadek, niż wzdłecznie paradować na grzeczny i ujeżdżonym koniu. „Noworoczne Telepatrzydło” choć nawijało do cyklu programowego poświęconego „Kronikom” Prusa, pomyslane było inaczej. Wspólnym był jedynie Jerzy Wasowski w roli Bolesława Prusa.

Na wstępie temu, czyli Prusowi, udzielił Hanuszkiewicz głosu dla wypowiedzenia myśli pisarza na temat patriotyzmu. Zaraz potem jednak autor programu nakazał Prusowi słuchać. Czegoś Głosów krytyki o „Lalce”. Najpierw tych z lat dziesięćdziesiątych — Władysława Bogusławskiego, Kazimierza Ehrenberga, Aleksandra Świętochowskiego — bardzo surowych, krzywdzących i wskazujących na niezrozumienie „Lalki” i jej wartości. Potem głosy z okresu międzywojennego i powojennego — Jana Lechonía, Tadeusza Boya-Zeleńskiego i Marii Dąbrowskiej — odwołujące powieści Prusa należne jej uznanie.

Opinie krytyków włożył Hanuszkiewicz w usta aktorom bez przestrzegania zgodności płci. Już ten pomysł przekreślał możliwość utożsamiania się aktorów z osobami krytyków. Pozwoliło to wykonawcom wyraźnie manifestować swój dystans w stosunku do jawnie niesłusznych krytyk.

Zderzenie współczesnych Prusów głosów krytyki, brzmiałych dziś z perspektywy czasu śmieśniznie, ze słowami niosącymi Prusowi pośmiertne uznanie — zabrzmiało w telewizji jak żywa polemika. Tę część „Telepatrzydła” podsumowała jakby wypowiedź Boya-Zeleńskiego, który stwierdził, że często dzieła konstruktoryjne, posiadające literaturę napród, przyjmowane są zrazu jako światoburcze, sprzeczne z moralnością.

I wreszcie kazal Hanuszkiewicz posłuchać Prusowi fragmentów z własnej adaptacji scenicznej „Lalki”, dokonanej w warszawskim Teatrze Powszechnym, jako nowej formy interpretacji słynnej powieści. Szczególnie interesująco zabrzmiał tu dialog Wokulskiego z Izabellą zbudowany na podkładzie zawartych w „Lalce” myśli Izabelli o Wokulskim i vice versa — Wokulskiego o Izabelli. Ta konfrontacja ukrytych myśli, chwila szczerości, do której nie doszło w powieści, jest przykładem, jak nowych pokładów może się dokopać w oryginalnie twórcza adaptacja.

W sumie „Telepatrzydło” było pozycją programową ciekawą, mimo że niejednorodną i uciekającą się do chwytów dość ryzykownych, jak wprowadzenie zespołu „Parlika” z piosenkami o Prusie. Jeśli więc Hanuszkiewicz nawet spał z konia, to z dobrego.

Władysław Głowacki

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Odstępując trochę od zwyczaju, w tym tygodniu pragniemy mówić „dobrze i źle” o filmach trochę innych niż te, które zwykliśmy prezentować naszym Czytelnikom. Są to filmy trochę osobliwe, pokazywane szerzej publiczności właściwie po raz pierwszy, a że miało to miejsce tuż przed świętami właśnie w naszym mieście, chcemy im porę uwagę poświęcić.

Z inicjatywy Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego zorganizowano w Łodzi i Ogólnopolski Przegląd Filmów Amatorskich Młodzieży Szkolnej. Choć such amatorskiej twórczości filmowej ma już w Polsce niebagatelne tradycje (istnieje Federacja Amatorskich Klubów Filmowych, organizuje się przeglądy i festiwale, TV poświęca w swym programie miejsce na prezentację filmów natjecowniczych), po raz pierwszy jednak zwrócono uwagę na to, że warto zobaczyć, jakie filmy robi i czym pasjonuje się młodzież szkolna. Łódzkiemu Pałacowi Młodzieży im. J. Tuwima powierzono organizację imprezy, wywiązał się z obowiązku znakomicie i tak oto znalazł się na to, że Łódź stanie się stałym miejscem jednej z imprez kulturalnych o wcale nieślubnym znaczeniu, jeśli weźmie się pod uwagę jej aspekt wychowawczy i sens społeczny.

Nie będą odosobniona w przekonaniu, iż przegląd filmowych prac młodzieży sprawił nam miłą niespodziankę. Nieoczekiwanie zetknęliśmy się z filmami, które stały się dla nas świadectwem tego, że gdzieś na uboczu, poza wszelką głośnie, nie mówię już zawodową, ale amatorską twórczością ludzi dorosłych, powstają dzieła filmowe, które bagatelizować się nie powinno. Śmieszne byłoby traktować te filmy jako przedszkolne wprawki przyszłych twórców filmowych; widzieć w nich trzeba swobodną formę wypowiedzi własnej, często nie artystycznej, lecz po prostu zaangażowanej, mówiącej o sprawach, które nurtują, ciekawia, czekają na ocenę.

To, iż wypowiedzi te przekazywały się przy pomocy kamery filmowej jest jakimś symptomem naszych czasów. Jest jeszcze jednym znakiem tego, że szkoła współczesna winna dać uczniowi do ręki coś więcej niż pióro, pedzel czy kredę i żądać głównie relacji słownej. Kamera w ręku ucznia nie zastąpi słowa zapisanego czy wypowiedzianego — to oczywiste. Nikt nie zamierza ją dać każdemu śledzącemu w szkolnej ławce. Warto ją jednak przekazać tym, którzy w tej ławce jeszcze zasiadają, pragną już czegoś więcej. Siła tej „diabełskiej maszyny” polega na tym, że zmusza do myślenia, poszukiwań i wyboru, że za tematem, który podejmuje lub śledzi stoją sprawy natury artystycznej, one

kształcą wrażliwość na piękno i zmuszają do jego poszukiwań.

Spośród nadesłanych siedemdziesięciu filmów do allejałnego konkursu dopuszczono trzydzieści parę. Oglądaliśmy próby filmów fabularnych, dokumentalnych, oświatowych, były impresje filmowe i po prostu krótkie szkolne. Były te filmy różne w swych odmiannych rodzajowych i gatunkowych, były różne ze względu na swą wartość techniczną i artystyczną, były wreszcie różne jeśli brać pod uwagę ich młodzieńczą szczerotę lub pretensjonalność, której dowód nie trudno odnaleźć w zawodowej kinematografii.

Z czołgi wylania się jednak obraz tego, czym nasi młodzi autorzy się interesują, czym żyją, na co są wrażliwi.

Mielśmy filmy, które były wyrazem pewnej ukształtowanej już świadomości społecznej — obywatelskiej, postawy („Znikający krajobraz Wybrzeża” — I nagroda), poczucia dumy z wybranego zawodu („Dziwocznica z „Białowłanki” — II nagroda), głębokiej miłości do ojczyzny i jej piękna i przyrody i zabytków. Oglądaliśmy filmy wracające do spraw, które dla młodych twórców są już historią, do lat walki z okupantem. Były filmy penetrujące świat uczniowski społeczności i próby jej oceny oraz filmy mówiące

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

o sprawach bardzo osobliwych, intymnych (ładny, poetyczny „Ryśpis z pamięci”).

W wielu filmach uderzała dojrzałość i umiejętność obserwacji, chwytliwa rzeczywistości zastanej, w której umiano znaleźć problem, bądź odkryć i wydobyć sprawy, obojętne, których przechodzi się często nie widząc i nie czując. Mielśmy filmy, które trzeba było podziwiać za umiejętność tworzenia klimatu i nastroju jak np. film „Baloniki” gdzieś nawet kamery pana Karabasza. Zastrzegamy sobie, że mówiąc o tych filmach, białymy pod uwagę wiek i możliwości ich twórców.

O wszystkim pisać nie sposób, było tego zbyt wiele i w końcu naprawdę nie o szczegóły chodzi, tych filmów oglądać i tak powszechnie nie będniany. Chodził przede wszystkim o problem i to problem, który nie powinien interesować tylko wychowawców naszej młodzieży. Robi się bardzo wiele, by poprzez działanie, świadome podsuwanie możliwości kształcić i wychowywać, ale trzeba wbić jeszcze więcej. To skromna impreza filmowa była świadectwem jedne z „dobrych robót”, jej sens określiły same filmy — osobiste wypowiedzi tych młodych, którzy chyba obojętni już być nie potrafili.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

SREDNIOWIECZNA SZTUKA ETIOPSKA

W jednym z paryskich wydawnictw ukazał się album poświęcony średniowiecznej sztuce Etiopii. Autorem dzieła jest Georg Gerster, który pokonać musiał wiele trudności by dotrzeć i zbadać



sakralną sztukę etiopską z okresu średniowiecza. Trud ten opłacił się świetnie, gdyż, jak czytamy w tygodniku „Paris-Match”, każda strona tego albumu, znakomicie ilustrowanego i udokumentowanego przynosi niespodziankę. Aby poznać odcienie swych poszukiwań Gerster musiał odnaleźć i odwiedzić świątynie etiopskie, nieraz trudno dostępne, często wycofane w skałach lub umieszczone w grociech.

„KRAINA ŚNIEGU” NA EKRAPIE

„Kraina śniegu” jedno z najbardziej charakterystycznych dzieł japońskiego pisarza Yasunari Kawabaty, laureata nagrody literackiej Nobla za rok 1968 zostanie adaptowana dla filmu. Reżyserem będzie Szwed Arne Mattson. Film kreowany ma być przez wytwórnię japońską przy współpracy jakiejś wytwórni zagranicznej, najprawdopodobniej amerykańskiej.

Zdjęcia rozpoczęły się w Japonii w roku 1970. Arne Mattson jest z zawodu reży-

serem teatralnym. Filmował już dzieło innego laureata Nobla, islandczyka Halldóra Laxnessa. Film był adaptacją powieści Laxnessa pt. „Salka Valka”.

PIRANDELLO O KOBIECACH

Francuskie czasopiśmo „Nouvelle Revue Française” publikuje w numerze grudniowym m. in. nie wydane do latki wielkiego włoskiego dramaturga Pirandello. Oto jedna z tych notatek, którą warto zacytować: „Gdy ukochana kobieta, w waszej obecności nagłe milknie spracowana, wpatruje się przed siebie, jakby nie widziała, nie ryzykujecie pytania: „O czym myślisz?” Odpowiedź: „O niczym”. I być może rzeczywiście o niczym nie myślała, ale wystarczy abyście ją o to zapytali, by pomyślała o czymś o czym nie może wam powiedzieć”.

SZTUKA SCENICZNA PANI MORAVII

W styczniu br. w paryskim Theatre des Arts zostanie wystawiona sztuka jaką napisała małżonka słynnego włoskiego pisarza Alberta Moravii. Sztuka ma tytuł „Szantaz w teatrze”. Pani Moravia pokazuje w niej ludzi, których życie zawodowe na scenie przeplata się z ich życiem prywatnym.

ZMARŁ PRZYJACIEL I WYDAWA KAFKI

W wieku lat osiemdziesięciu czterech zmarł krytyk, powieściopisarz i kompozytor Max Brod. Urodzony w Pradze w 1884 r. był przyjacielem i powiernikiem Franza Kafki, a po śmierci tego pisarza wydał drukiem jego dzieła. Max Brod napisał kilka powieści jak „Ciceron”, „Galileusz w wzięciu”, „Tycho Brahe” oraz kilka dzieł muzycznych.

JACQUES CALLOT

Gabinet Sztuchów paryskiego Muzeum Sztuki i Historii zorganizował wystawę

dzieł najwybitniejszego rytownika i rysownika francuskiego XVII wieku, Jacques'a Callota.

Urodził się on w roku 1691 w Nancy, stolicy księstwa Lotaryngii. Ojciec przyszłego słynnego grafika pełnił na dworze księcia u rząd herolda, znawcy herbów, który sędziował podczas turniejów i pełnił obowiązki mistrza dworskich ceremonii.

Jacques Callot od najmłodszych lat interesował się sztuką zwłaszcza grafiką. W Nancy zaprzyjaźnia się z artystami przebywającymi na dworze księcia i często odwiedza pracownię rytownika Demange Grocka i malarza Claude Henrieta. Mały Jacques marzy o podróży do Rzymu, aby tam kształcić się artystycznie. Gdy ma lat 11, acieka z domu i przyłączywszy się do grupy Cyganów wędruje z nimi aż do Florencji. Odnaleziony przez kupców z Nancy musi wracać z nimi do domu. Wkrótce znowu ucieka. Tym razem starszy brat odnajduje go w Turynie. Później jednak rodzice ulegają prośbom chłopca i pozwalają mu na wyjazd. Jacques Callot po wielu przygodach i pokonaniu szeregu trudności dostaje się na dwór Medyceuszów we Florencji. Uczy się pilnie rysunku i rytownictwa i wkrótce przetrzała umiejętność swych mistrzów. Uprawia z zamiłowaniem zwłaszcza akwafortę i ulepsza proces technologiczny dzięki czemu uzyskuje w swych grafikach czystość rysunku i możliwość otrzymania precyzyjnych linii. Pracuje na zamówienie i dla własnej przyjemności. Zdobycy sobie nie mały rozgłos i otrzymuje wiele zamówień, najpierw we Florencji, potem na dworach innych księstw, a nawet królów. Upamiętnia dworskie uroczystości i ważniejsze wydarzenia polityczne, rysuje portrety władców, a równocześnie tworzy dzieła których tematami są sceny uliczne, rodzajowe, portrety Cyganów, biedaków, żebraków,

zbiędniałych baronów, żołnierzy, postaci z komedii dell'arte. Robi cykle grafik obrazujących wielkie i małe nieszczęścia wojny. Buntując się przeciw plagom wojny i nędzy, oburzając się przeciw okrucieństwom jakie spadają na biedaków, daje w swych dziełach świadectwo okrutnych czasów w jakich żył. Później historycy sztuki porównywać będą jego twórczość do twórczości Goyi. Kiedy Jacques Callot umiera w rodzinnym Nancy w roku 1635 pozostawia po sobie ogromną ilość oryginalnych dzieł grafiki, którą on pierwszy we Francji podniósł do rangi prawdziwej sztuki.

MARINA VLADY W ROLI UKOCHANEJ CZECHOWA

Zimno panuje na pierwszym piętrze wieży Eiffa — czytamy w paryskim dzienniku „Le Figaro”. Marina Vlady we wspomnianej sukni z błękitnego aksamitu i w kapeluszu przybrany piórami miewy ogląda panoramę Paryża. Tu nakręcający jest telewizyjny film radziecko-francuski, reżyserowany przez S. Jutkiewicza pt. „Lika, miłota Czechowa”. W roku 1896 Czechow napisał jeden ze swych wielkich dramatów pt. „Czajka” (polski tytuł: Mewa). Inspiracją tego dzieła był romans Czechowa z aktorką Liką. — Mewa to ja — mówi do reporterów Marina Vlady. — Kreuję postać aktorki Liky, która nadaremnie oczekiwała od Czechowa prawdziwego wyznania miłosnego. Wreszcie w Paryżu zruła się w objęcia rosyjskiego pisarza Potapienki, który był wówczas bardziej sławny niż Czechow. Zonaty Potapienko rzucił Likę, a wkrótce zmarło ich dziecko. Na podstawie tych zdarzeń Czechow napisał sztukę pt. „Mewa”. Lika powiedziała wtedy do Czechowa: „Ja przeżyłam dramat, a pan dramat napisał. Jesteśmy skwitowani”.

SMIEC PISARZY

26 listopada br. zmarli dwaj postępowi wybitni pisarze: Upton Sinclair i Arnold Zweig.

Upton Sinclair zmarł w wieku lat 90 w Bound Brook (New Jersey), w klinice, gdzie przebywał od roku.

Urodził się w roku 1878 w Baltimore. Pisywał od lat 14, aby móc opłacić swą na-

ukę. Studiował następnie na uniwersytecie w Nowym Jorku, potem w Kalifornii. W ciągu lat 60 demaskował, oskarżał, atakował piórem i działalnością społeczno-polityczną kapitalistyczne stosunki USA.

Sławę przyniosła mu powieść „The Jungle” (Grzęzawisko). Książka z pasją atakowała królów mięsa z Chicago. Sinclair miał wtedy 26 lat. Walczył z trzustką, ukazywał korupcję finansjery i przemysłowców. Do bardzo znanych jego powieści należą m. in. „Król węglek”, „Nafta”, „Boston”. W tej ostatniej dał wyraz swemu oburzeniu z powodu stracenia dwóch przywódców robotniczych, Sacco i Vanzetti. Napisał ponad osiemdziesiąt dzieł. Za powieść pt. „Żeby smoka” otrzymał w roku 1942 nagrodę Pulitzerza. Akcja książki rozgrywa się w hitlerowskich Niemczech. Tam też książka została przez hitlerowców spalona.

Twórczością Sinclaira zachwycali się Shaw i Einstein, który uważał pisarza za geniusza. Pisarstwo Uptona Sinclaira wywarło znaczny wpływ na światową literaturę postępową. Arnold Zweig powieściopisarz, nowelista, esaista, dramaturg, poeta, zmarł w Berlinie w wieku lat 81.

Urodził się na Śląsku, ja-

KOMEDIA MUZYCZNA „OLIVER TWIST”

Na ekrany paryskie weszła filmowa komedia muzyczna będąca adaptacją powieści Karola Dickensa pt. „Oliver Twist”. Główną rolę gra



Mark Lester — „Oliver”.

chłopiec wybrany przez reżysera spośród dwóch tysięcy kandydatów. Młody aktor nazywa się Mark Lester, liczy sobie dziesięć lat i występował już w kilku filmach.

Bez strachu

CZERWONE I CZARNE

Czerwone i czarne — piórotłok i sadza, pieczone żarzenie — sadza i buczące ogniem przewody kominowe — a nade wszystko Oni, Panowie sady i piórotłoki — kominarze. Kominarze mego dzieciństwa nosili cylindry i kłaniali się z niewypowiedzianym wdziękiem salutując miotłami. Co do mnie — w dzieciństwie chwytalem na widok kominarza guzik i trzymałem mocno chcąc złapać i utrzymać szczęście. Później już nie łapałem guzików, wcale nie dlatego, że zdołałem oczyścić psychikę z myślenia magicznego — wstydziłem się kominarzy, ich dobroliwych uśmiechów na widok człowieka pragnącego szczęścia od duchów czerwieni i czerni. Wielu ludzi wierzy w szczęście osiągalne u kominarzy — kominarze zagadywali przede mną wprost pytaniem czy uważają się za dawców szczęścia, uśmiechali się uśmiechem zarazem ironicznym i tajemniczym — swojego poglądu nigdy nie wypowiadali. Kominarz jest panem czerwonego i czarnego — kominarz szczęśliwy to kominarz, który obok poznała piekielnych tajemnic zionących ogniem i sadzą przewodów, poznał prawa ciężenia i prawa równowagi — kominarz szczęśliwy jest panem przestrzeni — wada położeniem swego ciała w przestrzeni w sposób znacząco przetrastający władztwo innych ludzi. Nie wapiera swej władzy skomplikowanymi maszynami — jest niezmiernie prosty i uczciwy — może właśnie dlatego zasobny w szczęście... Kiedyś szukałem kominarzy — byłem w ich spółdzielni gdzie otoczyło mnie chyba trzydziestu kominarzy. Podałem wtedy intuicyjnej weryfikacji swoje przesądne mniemanie i oto w tej scenarii myślenie magiczne okazało się silniejsze od mojego racjonalizmu. Patrzyłem z oskumą, zupełnie bezwstydnie na niezliczoną ilość kominarskich guzików — pochwyliłem najbardziej umorusanego kominarza za guzik i prowadzilem z nim wrzaskliwą rozmowę — mimo, że jego pobłażliwe oczy wyrażały cierpliwość i mądry wiedzę o moim stanie. Czekałem na kominarza bardzo długo — podając nonsensowne motywy przedłużalem w nieskończoność wizytę. Wyseledłem wiodąc jednego z kominarzy pod rękę, dtoniłem imieniem jego guzika. Przechodnie spoglądali na nas zdziwieni — jakiś ulicznik zawołał: „Te, bój się sady” — teraz ja uśmiechnąłem się z pobłażaniem, cóż ten człowiek może wiedzieć o boskich i diabelskich tajemnicach kominarzy o szczęściu, którym oni władają. Kroczyłem w zachwyceniu — powoli milknął gwar ulicy — stałami w głębi podwórka przed sienią ogromnego domu: „Proszę” powiedział kominarz wyciągając czarną rękę w stronę sien: „Proszę przodem”, „Jak to?” „Zupełnie zwyczajnie — wejdzmy sobie na dach, musimy tutaj, w tym domu wyczyścić komin”. Poczulem jak w rażącym świetle wezbranego racjonalizmu wygasła moje magiczne przekonanie świata. Cofnąłem się jak najdalej od sien, jak najdalej od czerwonego i czarnego, od niewymiernej przestrzeni. Chwyciłem wreszcie guzik — tym razem własny.

BERNARD SZTAJNERT

Od NIEDZIELI do NIEDZIELI

PO CO NAM TO BYŁO?

CO KUJA W PACANOWIE? — CZTEROWIERSZ NIECENZURALNY — MINI-GALERIE — „PROBLEM KREACJI PRZEPUSZCZONY PRZEZ FILTR.” — CZY ARTYSTA Z BYKA SPADŁ?

Kilka lat temu w starożytnym Odrodku Propagandy Sztuki, który „z braku laku” awansował w Łodzi do rangi Galerii Sztuki przeprowadzono modernizację. Zamutowano mianowicie główne wejście od centralnej i przelotowej alei parku Sienkiewicza a wybudowano wejście prawie konspiracyjne, choć przeszkolone i pawilony, które do starego budynku pasuje jak goździk do kufajki. Kilkaście tysięcy złotych „pekło”, ale warunki ekspozycji niewiele się poprawiły.

Obecnie po paru latach OSP czeka nowa modernizacja. Wykufe się nowe wejście, tym razem... od centralnej i przelotowej alei parku Sienkiewicza czyli w tym miejscu, gdzie było przed laty. Znow „peknie” kilkaset tysięcy złotych. Po co nam to było? To — czyli nieprzemysłowe kucie ścian? Przypomina mi się sceniam na reakcja mieszkańców Pa-

canowa w województwie kieleckim. Na filuterne pytania turystów: „Czy to prawda, że u was kują kozy?” — pacanowanie odpowiadają: „kozy to nie, ale mordę skuć możemy za takie zarządy”.

Tak czy owak z dwu najwięcej placówek wystawowych w Łodzi jedna znow będzie unieruchomiona remontem na długie miesiące. Pozostanie Salon Wystawowy przy Piotrkowskiej — sto sunkowo młody, ale już popularny. Nic zresztą dziwnego — placówka przy piotrkowskim trakcie popularność zdobywa niejako sama przez się.

Względny ekonomiczny też na ową popularność rzutują — w Galerii płaci się dwa złote za przyjemność oglądania obrazów, w Salonie panuje demokratyczna dar-mocha. Tak więc gdyby przyszło klasyfikować publiczność obu tych placówek okazałoby się, że do parku Sien-

kiewicza wędrują głównie znawcy lub miłośnicy plastyki oraz wycieczki — do Salonu natomiast „wpada” widz często przypadkowy a więc chyba ten, o którego w propa gandzie plastyki idzie bój... Ten właśnie ludowy, niewyrzafinowany widz, reagujący spontanicznie i żywiołowo, jest chyba dla artysty najwrażliwszym odbiorcą. Jeśli mu się nie podoba, nie bredzi o archetypach Junga, tylko wpisuje do księgi uwag: „pante artysta, coś pan z byka spadł!” A jeśli mu się podoba... Wtedy jak na wystawie Stefania Zarębskiej wali drzwiami i oknami, po mieście „puszcza fame”, że jest dobra wystawa i wówczas w ciągu czterech tygodni Salon odwiedza 35 tysięcy zwiedzających co na łódzkie i nie tylko łódzkie warunki jest rekordem niecodziennym.

Dodam jeszcze, że powodzenie lub niepowodzenie wystawy nie sprowadza się jedynie do podziału tradycja — nowoczesność. Na bardzo przeciętne awangardowej ekspozycji czwórki młodych artystów wystawiających tzw. przedmiot unikatowy w metalu, drewnie i ceramice — również tłoczyły się tysiące zwiedzających. A w księgce uwag obok opinii „fajnie”, powtarzały się westchnienia, które mogą wystarczyć za najwyższą ocenę: „szkoda, że to takie drogie!” Znaczy to, że nie było pudła, że młodzi artyści utrafilili w zapotrzebowaniu na artystyczny element dekoracyjny, świecznik, krąg, biżuterię...

Na wystawie bardzo efektownej i wcale nie tradycyjnej grafiki Józefa Kotlarczyka entuzjaści wpisują epistołę:

„Drogi Kotlarczyku, artysto kochany pozwól grafomanom wpisać się rymami. Wzory mrozu są cudne, ty se dalej twórz, krytyki się nie bój, miej to w d... i już”.

Nie podzielam zdania p. Wendy J., która pod tym czterowierszem wpisała autorom referat na temat dobrego wychowania. Salon wystawowy przy Piotrkowskiej jest ekspozycją żywą — przyznam się, że wole takie epigramy i takie spontaniczne reakcje niż notatki w stylu „50 dzieł ze szkoły takiej a takiej zwiedziło wystawę, która się bardzo podobała”. I podpis nauczycielki. Odczucia, wrażenia i reakcje owej pięćdziesiątki pozostają anonimowe, nieznane. Czy im się podobało czy nie i dlaczego zdecydował ktoś za nich.

Fakt, że Salon Wystawowy jest placówką bardzo żywą i udaną osładza trochę niefortunny do kwadratu remont Odrodka Propagandy Sztuki. Na otarcie łez mamy zresztą coś więcej. To „coś” to społeczna inicjatywa placówek w zasadzie nie powołanych do propagandy plastyki jak np. Teatr Wielki i Teatr Nowy, które z powodzeniem eksponują u siebie niewielkie zestawy grafiki i malarstwa. To „coś” to inicjatywa Ligii Kobiety, która w

swolm klubie od niedawna urządza stałe ekspozycje plastyki i twórczości ludowej, to wystawy w Klubie Dzien nikarza... Gdybyż jeszcze wzorem Warszawy udało się wyjść z nimi — wystawami dostownie na ulicę, do witrzyn sklepowych!

Na koniec rzecz najważniejsza. Do odbiorcy nie jest wcale tak trudno trafić z dobrą plastyką. Problem nie w podziale na tradycję i nowoczesność, bo do tej ostatniej przyzwyczaili nas już plakaty, reklamy, grafika użytkowa. Ale odbiorca przez skórę wyczuwa bućkę i kamuflaż, dęte filozofiki, które nie sprawdzają się w konkretnym obrazie. Odbiorca nie chce być rozbity w kłębki, gdy mu się wmawia, że za kółkiem i dwiema kreskami kryje się „problem kreacji przepuszczonej przez filtr centrum mózgowego...” Słowem — odbiorca nie lubi lipy.

Słynny pacykarz okresu Młodej Polski malarz Jan Styka malował kiedyś Boga Olca w krakowskim kościele. Malował... na kłęczkach. Zachęcało albo nad Styką i zagrzmiął wielkim głosem Pan Bóg: „Styka — zawołał — ty mnie nie maluj na kłęczkach, ty mnie maluj na do brze”. I miał rację stary Bóg Ojciec, bo przecież nie chodzi o to, żeby na kłęczkach czy na stojąco, z archetypem czy bez — chodzi o to żeby dobrze. Wtedy zwykły, szary odbiorca na pewno nie powie: „pa nie artysta, czy pan z byka spadł?”

JERZY WIDOK

Za Kulisami TELEWIZYJNEJ EUROPY

1.

Wielu ludzi, obserwując, jak wyrasta las anten telewizyjnych w całej Europie, dochodzi do wniosku, że zjawisko to powinno w jakimś stopniu rozruszać stary kontynent. W przeciągu ostatnich pięciu lat liczba telewizorów w zachodniej Europie podwoiła się. Dziś jest ich już około 47 milionów; w przybliżeniu jeden telewizor na pięciu mieszkańców. Prym wiodzie tu Wielka Brytania, gdzie jeden telewizor przypada na czterech mieszkańców wyspy.

W pierwszych latach swego rozwoju telewizja nosiła charakter ogólnospołeczny. Włosi, na przykład, siadali gromadnie przed telewizorami w kawiarniach, restauracjach, ulicznych trattoriach itp., tworząc audytoria, podobne do teatralnych, czy kinowych. Z biegiem czasu stawała się telewizja zjawiskiem coraz bardziej masowym i dziś, we Włoszech, jest więcej telewizorów, niż waniem...

Spośród krajów zachodnioeuropejskich tylko w Grecji i Turcji nie ma telewizji. Ciekawe, iż w wielu krajach Europy zachodniej inteligencja do dzisiejszego dnia prowadzi uparty bój przeciwko telewizji. Pewne środowiska inteligencji we Francji i we Włoszech chętnie się tym, że nie mają odbiorników telewizyjnych. Natomiast w Anglii, takie popularne programy, jak „Panorama” i „Mściciele” są tematem ogólnej wymiany poglądów od profesorów poczynając, a na gąlganiarzach londyńskich kończąc. We Francji elita intelektualna często nie ma nawet pojęcia ani o programach, które oglądają inne warstwy społeczne, ani też, jakiej cenzury francuska TV podlega.

2.

Telewizja postawiła przed zachodnią Europą problem ogólny: jak ją zorganizować. Rządy krajów europejskich twardo postanowiły nie dopuścić, aby ich własne telewizje poszły drogą naśladowictwa straszliwej, amerykańskiej „wolnej konkurencji” prywatnych przedsięwzięciach telewizyjnych. Po szczególne kraje ukształto-

wały swe stacje telewizyjne według własnych koncepcji, przy czym mają one różne stopnie autonomii. I tak na przykład na jednym biegunie znajduje się francuska telewizja, mająca dwa kanały, które całkowicie kontroluje rząd. Dowcipnie i trafnie określił to jeden z działaczy gaullistowskich: „Telewizja — to rząd w Waszym salonie”. Generał de Gaulle, poprzez swych ministrów, realizuje precyzyjną i zupełnie wyrażną politykę: o ile znaczna część prasy jest nastrojona antyrządowo, o tyle telewizja musi być prorządowa. Opozycja we Francji jest bardzo niezadowolona z kontroli rządu nad TV i serwisem prasowym.

Na drugim biegunie znajduje się Niemiecka Republika Federalna. Jej telewizję, zaraz po zakończeniu wojny, zdecentralizowano, przede wszystkim pod naciskiem Francuzów i Amerykanów. Każda z 10 republik federalnych (oraz miasto Bremen) ma swoją stację TV, przy czym wszystkie one wymieniają się programami. Oglądając je w czasie całego wieczoru można odnieść wrażenie, że na ekranie odbywa się jakas telewizyjna rewia miast: Monachium rozmawia z Frankfurtiem, Hamburg z Kolonią. Obok tego jest rowniez drugi ogólnopanstwowy program telewizyjny, transmitowany drugim kanałem. Oba kanały obsługuje armia reporterów i stałych korespondentów telewizyjnych. Mimo pozornej swobody i liberalizmu, reporterzy zachodniemieckiej telewizji są pełni szacunku i bardzo ostrożni, szczególnie gdy prowadzą wywiady z działaczami politycznymi lub komentują namiętnie, i często nie skracane, mowy przywódców politycznych. Odnosi się wrażenie, iż zachodniemiecka telewizja, ograniczona jest własnymi koncepcjami, pokazuje przypudrowany świat, który jest zbyt piękny, żeby był prawdziwy. „Swoboda” zachodniemieckiej telewizji stoi pod wielkim znakiem zapytania. Niektórzy pracownicy TV żalą się, że „wielka koalicja” zlikwidowała dyskusję...

3.

W wielojęzycznych krajach Europy, telewizja musi z niezwykłą uwagą reprezentować interesy wszystkich grup narodowościowych. Najbardziej złożony system w tej dziedzinie działa w Holandii, gdzie prowadzi się aż pięć oddzielnych programów o charakterze wyznaniowym i politycznym. Więc: AVRO — ogólna audycja, KRO — dla katolików, NCRV — dla protestantów, VARA — społeczna i VPRO — liberalno-protestancka.

Angielska telewizja, niezależnie od swego agresywnego stosunku wobec dzia-

łaczy politycznych i reprezentowanych przez nich koncepcji, nie jest znów tak bardzo niezależna, jakby się to mogło wydawać; za sztywnym i opryskliwym stanowieniem problemami, kryje się konserwatywna akceptacja pryncypiów i poglądów ludzi dzierżących władzę. Tylko w porównaniu z programami z kontynentu, brytyjskie audycje TV wydają się być bardziej niezależne. W Anglii telewizja jest przedsiębiorstwem handlowym i podlega kontroli organów państwowych.

4.

W wielu krajach zachodniej Europy odczuwa się wyraźny wpływ telewizji na politykę narodową. Dla prezydentów i premierów telewizja jest o wiele bardziej przekonującym i wdziecznym środkiem oddziaływania, niż radio. Dzięki niej mogą oni, niejako oko w oko, spotkać się ze swymi wyborcami. Być może nadejdzie jeszcze czas, gdy telewizja przekształci wszystkie kraje zachodniej Europy w reżymy prezydenckie, niezależnie od tego, co obiecuje ich konstytucje. Działaczom politycznym będzie

duch, znajduje się u władzy już cztery lata. Ale przede wszystkim ten, kto umie pokazać siebie w dobrym świetle, może nawiązać tak silny kontakt z widzem telewizyjnym, że zdoła z łatwością usunąć w cień swych politycznych konkurentów. Lider, umiejętnie posługujący się telewizją wcale nie potrzebuje „mówić serdecznie i bezpośrednio”, on po prostu sam siebie „lansuje” i sam „kształtuje nowe treści”, kiedy tylko jest mu to potrzebne.

Telewizja w całej Europie wzmogła „personifikację” polityki. Politykę zachodnioeuropejską coraz bardziej przedstawia się jako rundy spotkań pomiędzy „panem Francji”, „panem NRF” i „panem Anglii”.

5.

W jakim stopniu, mimo wewnętrznego wpływu, mogła telewizja przekroczyć granice narodowe? Idealisci patrzą na telewizję, jako na instrument utrzymywania stosunków międzynarodowych, pomagający „światu, który staje się coraz bardziej ciasny”. Jednakże z

nie, wszystkie wielkie kraje Europy zachodniej oraz Związek Radziecki wprowadzają programy telewizji kolorowej. W związku z tym pojawiają się dwa różne systemy: zachodniemiecki PAL i francuski SECAM, które, mimo usilowań połączenia ich, rozdzieliły Europę na dwie części. Imperium PAL sięga od Skandynawii do Włoch, włączając w to Anglię i Islandię, podczas gdy SECAM obejmuje Związek Radziecki i większą część krajów wschodniej Europy. Telewizory skonstruowane dla typu SECAM nie mogą odbierać programów PAL, i odwrotnie. Ludzie, w tak małych krajach, jak Belgia, czy Holandia, którzy mogą jeszcze odbierać zagraniczne programy telewizyjne czarno-białe, teraz będą odcięci od programów kolorowych. Tylko bardzo drogie i specjalnie skonstruowane telewizory umożliwią odbiór programów obu telewizji kolorowych.

6.

Lwia część widzów ogląda programy tylko swego kraju. Po zapoznaniu się z programami całej Europy aż

niem tych lub innych wydarzeń, i nazajutrz mieszkańcy wielu krajów Europy mają na ustach ten sam temat. Jeśli nie brać pod uwagę takich emocjonalnych programów, Eurowizja wzbudza pewne rozczarowanie. Po chwili silnych wrażeń, wywołanych takim ogólnokontynentalnym eksperymentem, widzowie dochodzą do wniosku, że programy te są im obce i bez wyrazu. Dlatego to obecnie, w krajach objętych Eurowizją, komentuje się ogólnoeuropejskie programy na swój sposób.

W programach niektórych krajów robi się „ogólnoeuropejskie gesty”. Świadczą o tym przekazy programowe, poświęcone innym krajom. W NRF, w niedzielę rano, daje się dyskusję z zagranicznymi gośćmi. W Anglii przedstawia się interesujący program „Europa”, a analogiczne programy już się pojawiły w Niemczech zachodnich, w Belgii i francuskiej Kanadzie. W programach daje się reportaże filmowe o innych krajach. „Europa” daje przegląd ważnych stosunków między narodami. Jednakże program ten jest bardzo znamienity nie dlatego, iżby budził rzekomo „ogólnoeuropejską świadomość”, a przede wszystkim dlatego, że maskuje europejską rywalizację i europejskie sprzeczności.

7.

Nie wykluczone, iż za dziesięć lat, gdy zostanie już opracowany system „TELSTAR” lub inny, stanie się możliwe skonstruowanie urządzeń telewizyjnych, pozwalających na odbiór programów z bardzo odległych krajów. Pytanie jednak, czy rządy poszczególnych krajów zechcą wziąć udział w takich innowacjach i czy w ogóle zgodzą się one, żeby ich widzowie oglądali obce programy? Ostatecznie bariery telewizyjne noszą charakter nie tylko techniczny, lecz również kulturalny. Atrakcyjność telewizji, podobnie jak gazet i polityki, zależy od koncepcji narodowych. Chęć skonstruowania „ponadnarodowych” programów prowadzi zazwyczaj do beznadziejnego braku sensownej myśli i wyrazistej formy.

Niektórzy reżyserzy telewizyjni utrzymują, że — z wyjątkiem transmitowanych aktualnych wydarzeń w skali światowej, jak na przykład radzieckie loty kosmiczne, czy mistrzostwa sportowe świata — próby stworzenia telewizji kosmopolitycznej rodzaju „elektroniczne śmiecie.” (opr. WSt.)

* „Observer”. Antony Simpson (fragmenty artykułu).



Fot. J. Makal

oczywiście potrzebny pewien czas, żeby przyswoić sobie metody nowego rodzaju demagogii, demagogii telewizyjnej, która jest mieszaniną troski i współczucia z polityką twardej ręki. Telewizja stwarza nieograniczone możliwości omięcia parlamentu i gabinetu ministrów.

Prawdą jest, że nawet dzisiaj, który nie umie występować przed kamerą telewizyjną, potrafi utrzymać się na stanowisku lidera. Na przykład włoski premier Aldo Moro, który wgląda na ekranie telewizyjnym, jak

technicznego punktu widzenia telewizja jest mniej międzynarodowa, niż radio. Co prawda są w zachodniej Europie obszerne strefy, w których można odbierać programy różnych krajów. Na przykład zachodniemiecka telewizja przenika do Holandii, i Belgii, a także do pewnych rejonów Szwajcarii, Francji i Austrii. Jednakże w większości przypadków widzowie są ograniczeni własną siecią TV, a granice jeszcze bardziej się zamknęły po wprowadzeniu telewizji kolorowej. Obec-

dziw bierze, jak bardzo każdy z nich odzwierciedla indywidualne cechy, dążenia i różnice narodowe: uderzającą kwiecistość i retoryczność włoskich dyskusji politycznych, skrajną namiętność programów NRF, ogromne samozadowolenie w programach francuskich, polemizacyjność programów brytyjskich.

Niektóre wielkie wydarzenia światowe zbliżają widzów dzięki systemowi Eurowizji. W przeciągu niewiele minut cały kontynent może się znaleźć pod wraż-



Lewym okiem

ROZUM I ROZSADEK

Jeden z twórców nowoczesnej fizyki atomowej, Max Born, wyraził się o podróży kosmicznych, że są „triumfem rozumu i kłóską rozsądku”. Tak na pewno jest, jeśli założymy, że „rozsądek” to po prostu zdolność kalkulowania naszych własnych kosztów i naszych własnych korzyści. Naszych — to znów pojęcie do uściślenia. Rozsądny pan Kowalski kalkuluje swoje koszty, swoje przyjemności i opłacalność tychże. Rozsądny dyrektor czyni podobnie w skali prowadzonego przez siebie przedsiębiorstwa. Rozsądny naród postępuje tak, żeby nie rozszastać w daremnym, nerealnych ambicjach własnych sił, a przeciwnie — utrzymać swój stan posiadania, wzmocnić pozycję polityczną, podnieść poziom stopy życiowej, Rozsądna ludzkość...

„Ludzkość” to już największa dająca się pomyśleć kategoria i rozróżnianie na tym szczeblu rozumu od rozsądku nadaje temu drugiemu pojęciu z konieczności cechę pejoratywną, zacieśniającą horyzonty, skracającą oddech na dzień dzisiejszy, na już, tutaj, teraz. A ludzkość żyje i żyć będzie długo.

Rozbicie atomu i przygotowanie zapasu bomb atomowych, zdolnych rozwałkować kilkanaście razy planetę, z której ludzkość uciec nie może, jest też niewątpliwym triumfem rozumu, a jednocześnie monstrualną kłóską rozsądku. Gdyby cały księżyc był z brylantów, gdyby cena tychże na ziemi nie spadła ani o pensa, i tak żadna wyprawa na księżyc nie opłacałaby się nigdy i Kowalscy mieliby rację: to nierozsądne pchać się tam, na ten „ogromny kawał pumeksu”, jak się wyraził Amerykanin Bormann, dowódca Apollo. Rozsądniejsza byłoby poszukiwanie naprawdę skutecznego lekarstwa na katar i na odciśnięcie — powiedziałaby pan Kowalski.

Ludzkość jednak to coś więcej, niż suma Kowalskich. To nawet powinno być coś znacznie więcej, niż suma kilkuset zamieszkałych ziemi narodów. Dopóki świadomość tego nie zakleikuje w rozsądek jak lawina miliardach mózgów ludzkich — rozsądek nie pokryje się, nie może się pokryć z rozumem. Wszystko, co umożliwiła i przybliżyła integracja i uniwersalizacja pojęcia „ludzkość”, przybliżyła rozsądek ku rozumowi.

Podróże kosmiczne są wielką, fantastyczną, odwieczną ambicją wszystkich ludzi. Cokolwiek w tym zakresie się dzieje — interesuje na równi cały świat. W prostym zdaniu „nasze pierwsze kroki w kosmosie” — zamek

„nasz” obejmuje przecież całą ludzkość. Jest w tym ładunek energii integrującej, jakże potrzebnej skłóconym skandalicznie grupom ludzkim. Czy chodzi o ambicję czysto sportową, bezinteresowną? Nawet gdyby tak było, już by kosmiczne próby miały poważny, ogólnoludzki sens. Ale przecież satelity nie po to latają, żeby być coraz to zawrotniejsze rekordy szybkości, wysokości, precyzji i ilości innych rzeczy. Nie wemy wprowadzić, jakie praktyczne znaczenie będzie miał lot w kółko po bezkresach kosmicznej pustki, ale lada dzień może się okazać, że będzie miał znaczenie olbrzymie. Wykorzystywanie każdej szansy, jaką daje istnienie, zajęcie w każdej istocie, zdobycie każdego bieguna, odkrycie wszystkich Ameryk. Marów, Dróg Miecznych — jest absolutnym nakazem, kategorycznym imperatywem myślącego człowieka. Proszę bardzo, jeden zupełnie konkretny pożytek już się ujawnił: to przecież dzięki satelitom komunikacyjnym telewizja rozrzetwia promień działania na dwie trzecie świata, to dzięki nim oglądaliśmy w Łodzi meksykańską olimpiadę. Kto wie, do czego jeszcze może się przydać księżyc?

Niedawno składaliśmy sobie życzenia na szczęty właśnie Nowy Rok. Niech póśród „wszystkiego najlepszego”, czego oczekujemy z nadzieją i trzema, czego życzymy sobie gorąco, o czym marzymy, ziści się i takie nateście: oby rozum szedł z rozsądkiem w parze, zby nie kłócił się ze sobą, bo na klótni tych dwóch skorzystać może tylko ten trzeci: chaos, kłóśka, zagłada.

CWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Konrad Frejdlch, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, Tel. 244 79. Warunki prenumeraty: miesięcznik 4 zł, kwartalnie 12 zł. Reakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy”. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 13. I. B-12